



# 7

Rok XVI

(796)

CENA 1.50zł

# 18. 2. 73



# ODGŁOSY

## TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

ANDRZEJ MAKOWIECKI

SZANSA MŁODYCH

## Kto wierzy w Borutę?

Pojechałem do tej fabryki z konkretnym celem. Miałem odnaleźć LECHA BUKOWCA, który pracuje na Oddziale Barwników Kadziowych jako brygadzysta, i napisać o nim pokrępujący reportaż.

Jeszcze człowieka nie poznałem, nie wlepiłem w niego swoich podejrzliwych reporterskich oczu, a już, na kredyt masz wierzyć, że to będzie ktoś zupełnie wyjątkowy: energiczny, sumienny, ambitny, mądry i oddany sprawie...

— Ile ma lat? — zapytałem kierownika Ryszarda Trochleckiego.

— Dwadzieścia sześć.

— A jest dzisiaj w pracy?

— W tej chwili jeszcze go nie ma. Jego zmiana zaczyna o dwunastej.

Była dopiero dziewiąta. Miałem więc sporo czasu, aby rozejrzeć się po zakładzie. Bo przecież Bukowiec Bukowcem, ale trzeba także złapać jakieś tło... pogadać z ludźmi, poszperać w papierach, odwołać się do historii...

Jak to jest właściwie z tą fabryką? Co o niej wie przeciętny obywatel?

(Dalszy ciąg na str. 6)

EWA BEKIER

## Klejnoty z Beni YENNI

(Korespondencja z Algierii)

Stalam od dłuższego czasu gapiąc się na wystawę eleganckiego arabskiego sklepu przy zbiegu dwóch głównych ulic Algieru. Mieniące

się barwną emalią, koralem i srebrem ciężkie, misternie kute naszyjniki, brosze, bransolety, szpile i pierścienie leżały rozpostarte na aksamitnych poduszkach, jakby wyjęte wprost z baśniowego sezamu. Niezwykle delikatne w rysunku, zdobione srebrnymi filigranami i koralem o nieregularnych kształtach, prawdziwe klejnoty prymitywnej sztuki berberyjskiej, czarowały surowym wdziękiem i prostotą. Spędziłam przed wystawą jubilerskiego sklepu w sumie wiele godzin, zbaczając zawsze z trasy wiodącej do śródmieścia i kontemplując przez szybę poszczególne elementy tej oryginalnej biżuterii. Nie próbowałam nigdy zajrzeć do środka, przerażona astronomicznymi cenami, jakie figurowały koło wystawionych „skarbów”.

(Dalszy ciąg na str. 5)

Jan Izydor

Sztaudynger

Cóż mi tam boskie najstraszniejsze gniewy  
Bóg Adamowi raj wziął, nie wziął Ewy...

nie publikowany tekst J. I. Sztaudyngera pt. „Fraszki z rękawa”  
czytaj na str. 9.



*Non docet instabilis Copernicus aethoris orbis,  
Sed terrae instabilis arguit ille vices.*

Kopernik. Sztuch van Meursa do biografii pióra Gassendiego.

## CZEOWIEK NAZWISKIEM KOPERNIK

Przypomina mi się gorzkie wyznanie Baudelaire'a zapisane w pamiętniku „Moje obnażone serce”, którym zachwyciłem się po przeczytaniu „Dzienników poufnych”:

„Narody tylko mimo woli mają wielkich ludzi. Wielki człowiek jest więc zwycięzcą swego narodu”.

Ale ten błyskotliwy paradoks traci na swoim blasku, gdy chcemy go zastosować do myślicieli tej miary co **Mikołaj Kopernik**.

Syn piekarza z Torunia powążył się bowiem na rzecz największą: przewycięzył swoją epokę druzgocąc jednocześnie utrzymując się przez blisko 1500 lat twierdzenia przyrodoznawstwa, że Ziemia stanowi centrum wszechświata. Wywyższając Słońce rozświetlił mroczne drogi na których przez całe wieki błąkała się myśl ludzka i ustalił nowy porządek świata.

(Dalszy ciąg na str. 4)

## ODGŁOSY

Niedawno prasa doniosła o przejęciu opieki nad zamkiem w Krasiczynie na Rzeszowszczyźnie przez warszawską Fabrykę Samochodów Osobowych. Ta renesansowa budowla, uznana za zabytek klasy zerowej, z przełomu XVII i XVIII wieku znalazła wreszcie swego mecenasa. FSO przeprowadziła odrestaurowanie zamku z przeznaczeniem go na ośrodek wypoczynkowy dla własnej załogi.

W przeszłości przy pomocy przemysłu chemicznego odbudowany został zamek w Baranowie. Nad pałacem w Niepołomicach patronat objęła huta im. Lenina.

Powiększenie faktury są nie tylko odnotowania, ale i szerszej popularyzacji. Budzą zrozumiały optymizm. Potencjał naszego przemysłu dysponują odpowiednio dużymi środkami i mogą pomóc w odzyskaniu dawnego blasku i świetności pomników polskiej kultury. Przeznaczanie tych obiektów na ośrodki wypoczynkowe — to po prostu piękne i pożyteczne. I nie oznacza w żadnym wypadku zmiany charakteru zabytkowego wspomnianych budowli, bo wszystkie prace będą wykonywane w myśl zaleceń konserwatorów.

Tak stało się z pokrzyżackim zamkiem w Niedzicy, który dziś jest hotelem turystycznym. Zespół budowli poklasztornych w Chęcinach na Kielecczyźnie przeznaczono na ośrodek turystyczny. Znany jest również nasz Czystań w pobliżu Unieścioła.

Przedstawiamy te fakty

z prawdziwą satysfakcją. Nadal jednak wiele pomników kultury nie ma swoich opiekunów. Takich obiektów na terenie kraju znajduje się jeszcze około 900. Większość z nich można odbudować i wykorzystać na cele użytkowe. W wielu z nich Ministerstwo Kultury prowadzi prace zabezpieczające, ale to nie rozwiązuje problemu, ponieważ potrzebne są duże nakłady, którymi resort w pełnej wysokości nie dysponuje.

Narzekamy na przepisy, ale w tym wypadku ten wygodny argument odpada. Istnieje Uchwała Rady Ministrów z grudnia 1969 r., która nakazuje nawet przed przystąpieniem do lokalizacji inwestycji kulturalnych bądź turystycznych, zbadać czy na danym terenie nie ma obiektów zabytkowych nadających się do adaptacji. Uchwała zobowiązuje rady narodowe do zapropionowania inwestorowi takiego rozwiązania w pierwszej kolejności. Uchwałę tę niestety odłożono do lamusa, ale chyba czas do niej wrócić. Przykład FSO świadczy, że wśród niektórych działaczy i kierowników przemysłu istnieje zrozumienie dla tej wielkiej sprawy.

A warto tu podkreślić, celem zachęty potencjalnych mecenasów, że resort kultury pomaga w odbudowie obiektów do wysokości 23 proc. nakładów przeznaczonych na adaptację, a w wyjątkowych wypadkach ten udział jest znacznie wyższy. Jest to więc pomoc znacząca...

W przyszłości chcielibyśmy na naszych łamach przedstawić pierwszych mecenasów — a przemysłowych potentatów nam w Łodzi i województwie łódzkim nie brakuje — którym leżą na sercu zarówno sprawy społeczne, jak i dobro naszej kultury. Sądźmy, że nie każą nam zbyt długo czekać!

## POLITYKA

### SPRAWY MŁODEGO POKOLENIA.

Z udziałem członków Biura Politycznego i Sekretariatu KC PZPR odbyła się w Warszawie krajowa narada aktywnego młodzieżowego. Udział w naradzie wzięło blisko 600 aktywistów wszystkich organizacji młodzieżowych: ZMS, ZMW, ZHP, ZSP i KMW, reprezentujących wszystkie środowiska społeczno-zawodowe młodego pokolenia. Byli wśród nich inicjatorzy czynów społecznych i produkcyjnych, najlepsi uczniowie i studenci, wzorowi rolnicy i żołnierze.

Narada odbyła się w cztery miesiące po VII Plenum KC, które wytyczyło kierunki wychowywania młodego pokolenia, w okresie intensywnych przygotowań do krajowych zjazdów wszystkich organizacji młodzieżowych, w okresie szerokiej dyskusji nad nowym kształtem organizacyjnym ruchu młodzieżowego.

Wystąpienie B. Waligórskiego, przewodniczącego ZG ZMS, jak i wypowiedzi w dyskusji poświadczają wyomownie, jak głęboko młodzież pojmuje swą rolę w życiu kraju, z jaką odpowiedzialnością oczekuje ją zadania. Wachlarz poruszanych zagadnień był bardzo szeroki. Mówiono o dotychczasowym dorobku organizacyjnych organizacji, najlepszych doświadczeniach, ale również krytycznie oceniano istniejące niedostatki.

Wśród zabierających głos nie zabrakło przedstawicieli Łodzi i województwa łódzkiego. Ewa Boniecka z Włodzkiego Zakładów Bawełnianych złożyła w imieniu 42 tys. łódzkich ZMS-owców meldunek z dotychczas wykonanych przez młodzież prac. Ich wartość w formie czynów społecznych i ponadplanowej produkcji wyniosła w ub. roku 83 miliony zł. Halina Olejniczak, uczennica liceum ogólnokształcącego z woj. łódzkiego poinformowała o metodach pracy wychowawczej w organizacji harcerskiej.

W czasie narady zabrał głos I sekretarz KC Edward

Gierek, który wysoko ocenił dotychczasowy dorobek organizacji młodzieżowych jak i same obrady.

„Naród buduje swą przyszłość zespolonym wysiłkiem wszystkich pokoleń — powiedział I sekretarz KC. Nowoczesna, silna i szczęśliwa socjalistyczna Polska jest nadrzędnym celem wszystkich Polaków, młodzieży i pokoleń dojrzałych, a praca dla niej wspólnym zbiorowym obowiązkiem... Polska, którą budujemy, będzie przede wszystkim ważnym domem. Chcielibyśmy, aby cała polska młodzież zrozumiała, że pracując dla Polski, pracuje dla siebie. Żeby wzięła wszystkie swoje plany życiowe, wszystkie marzenia, ambicje i nadzieje z przyszłością ojczyzny”.

Na zakończenie obrad, w jednomyślnie przyjętej rezolucji uczestnicy narady wypowiedzieli się za utworzeniem Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej, która przejmie dorobek i najlepsze tradycje wszystkich, wchodzących w jej skład organizacji.

Biuro Polityczne na posiedzeniu w dniu 6 bm. rozpatrzyło materiały na najbliższym plenum Komitetu Centralnego, oraz zapoznało się z wynikami dyskusji nad „Tezami w sprawie poprawy gospodarki materiałowej”, przeprowadzonej w organizacjach partyjnych przedsiębiorstw. BP postanowiło zwołać w dniu 26 lutego posiedzenie KC w sprawie gospodarki materiałowej. Następnie BP wysłuchało informacji KW PZPR w Katowicach, ostatecznej realizacji zaleceń zawartych w liście Sekretariatu KC ze stycznia 1971 r. — w sprawie poprawy warunków pracy i warunków socjalno-bytowych załóg.

W dniach 6—8 bm. odbyło się w Warszawie kolejne posiedzenie Komitetu Ministrów Obrony Państw — Uczestników Układu Warszawskiego z udziałem naczelnego dowódcy i szefa sztabu Zjednoczonych Sił Zbrojnych. Posiedzeniu przewodniczył minister ON gen. W. Jaruzelski. W dniu 8 bm. Edward Gierek i Piotr Jaroszewicz przyjęli przedstawicieli delegacji — mi-

nistrów obrony państw członkowskich.

## GOSPODARKA

Na posiedzeniu Prezydium Rządu w dniu 9 bm. przyjęto program tworzenia i doskonalenia warunków rozwoju nauki i techniki oraz przygotowania kadr dla gospodarki do roku 1975 i na lata następne. Prezydium Rządu zapoznało się również z propozycjami dotyczącymi zaopatrzenia rolnictwa w nowoczesne maszyny, a w szczególności uruchomienia w kraju produkcji kombajnów do zbioru ziemniaków. (Podjęto decyzje o uruchomieniu produkcji jeszcze w br. Od 1977 r. produkcja ma osiągnąć wielkość 5 tys. szt. rocznie). Przyjęto projekt uchwały w sprawie budowy Dworca Centralnego w Warszawie, przewidując termin uruchomienia dworca na 1975 r.

W Moskwie podpisano protokół o wymianie towarowej i płatnościach między PRL i ZSRR. Protokół przewiduje, że wzajemne obroty towarowe osiągną wartość 2,9 mld rubli, co stanowi wzrost o ok. 9 proc. w stosunku do ustaleń z roku 1972. Zgodnie z postanowieniami nastąpi dalsze zwiększenie dostaw towarów na rynek radziecki, a zwłaszcza wyrobów przemysłowych, których udział w globalnej wartości naszego eksportu przekroczy 82 proc.

Odbyło się pierwsze posiedzenie komisji koordynacji, dynamiki i struktury rozwoju społeczno-gospodarczego kraju w latach 1976—80 tzw. komisji rozwoju. Do zadań komisji należy wszechstronne przeanalizowanie możliwości realizacji zadań w latach 1974—75 na poziomie wyższym niż zakładają plan 5-letni, oraz opracowanie propozycji dotyczących celów strategicznych, koncepcji i kierunków rozwoju w latach 1976—80.

## KULTURA

Prof. Jan Szczepański, przewodniczący Komitetu ekspertów wręczył I sekretarzowi KC, przewodniczącemu Rady Państwa i prezesowi Rady Ministrów, o-



pracowany raport o stanie oświaty w PRL. Propozycje komitetu ekspertów będą tematem obrad Biura Politycznego oraz zostaną przedstawione do dyskusji wśród nauczycieli, wychowawców, działaczy politycznych i oświatowych.

Prace komitetu ekspertów trwały dwa lata. Wyrazem społecznego zainteresowania pracą komitetu było 357 listów skierowanych pod jego adresem z propozycjami od nauczycieli, organizacji, samych młodzieży. Na zamówienie komitetu przygotowano 82 opracowania i ekspertyzy naukowe, w których redagowaniu brało udział ponad 200 pracowników nauki. Zebrano 258 analiz i informacji opracowanych przez instytucje oświatowe, gospodarce, organizacje społeczno-polityczne i zawodowe. Wykorzystano również 1074 publikacje prasowe.

Jak widać z tych liczb wykonano ogrom pracy, za co należy się członkom komitetu i współpracującym z komitetem serdeczne pozdrowienia. Niebawem rozpocznie się powszechna dyskusja nad raportem. Musimy w niej odpowiedzieć na pytanie: jak najlepiej przygotować naszych obywateli do czekających nas jutro zadań, gdyż postawa, wiedza i kwalifikacje ludzi zdecydowanie przysiędzą.

Tygodnik „Kultura” przyznał swoje doroczne nagrody za rok 1972. Otrzymał je: prof. Gerard Labuda za książkę „Polska granica Zachodnia” oraz Wiktor Osiatyński za książkę „W kręgu mitu amerykańskiego”.

J. Ż.

■ **90 NAJLEPSZYCH ROBOTNIKÓW.** Decyzją Egzekutywy Komitetu Łódzkiego PZPR ustanowiono honorową księgę, do której wpisywane będą nazwiska najlepszych robotników łódzkiego przemysłu. Przedstawiciele kierownictwa organizacji partyjnej i RN M. Łodzi spotkali się z 90 najlepszymi robotnikami, których nazwiska otwierają księgę, mającą zachować dla przyszłych pokoleń pamięć o tych, którzy w 1972 roku pracowali najlepiej i których praca i postawa przyczyniły się do dalszego utrwalania robotniczej tradycji Łodzi.

■ **DZIELNICOWE KONFERENCJE PARTYJNE.** Rozpoczynają się konferencje partyjne w poszczególnych dzielnicach Łodzi. W pierwszej kolejności obradować będą delegaci organizacji partyjnych Bałut, Górnej i Poleścia i Śródmieścia. W obradach dzielnicowych konferencji partyjnych udział wezmą przedstawiciele łódzkiej instancji partyjnej i centralnych władz partii.

■ **KUTNO W OCZACH MŁODYCH.** Reporter „Wiadomości Kutnowskich” — Andrzej Wojciechowski udzielił się do kutnowskiego liceum ogólnokształcącego i 50 uczniom klas maturalnych zadał jedno pytanie: Czy po skończeniu nauki chciałbyś zostać w Kutnie, czy wyjechać? Z otrzymanych odpowiedzi wyłonił się obraz miasta, jakim go widzą młodzi.

— „Kutno jest miastem brudnym i zaniedbanym...”

— „W Kutnie czuję się skropowana. Wszyscy wszystko wiedzą o człowieku”.

— „Po studiach wracam do Kutna. To jest miasto przyszłości”.

— „Szczerze mówiąc, nie lubię Kutna”.

— „Kutno ma duże możliwości rozwoju. Ale trzeba zmienić ludzi”.

— „W Kutnie jest zbyt mało rozrywek kulturalnych”.

— „Nie lubię małomiasteczkowej atmosfery”.

„Wiadomości Kutnowskie” opublikowały znacznie więcej i znacznie obszerniejszych wypowiedzi. Muszę przy-

znać, że obraz Kutna w oczach kutnowskich maturzystów nie jest ani oryginalny, ani szokujący. Widzą go prosto go takim, jakim jest w rzeczywistości. A najgorsze, że nawet deklarując chęć pozostania w Kutnie lub powrotu po studiach, traktują je jedynie jako miejsce zamieszkania, a nie jako miejsce przyszłej działalności. Mało kto chce tu zostać, lub wrócić, aby coś zmienić. I to w tych wypowiedziach powinno być niepokojące. Niepokojące zarówno dla nauczycieli, jak i organizacji młodzieżowej. I dla nas wszystkich pozostałych też.

■ **KRYPTONIM SART.** Te cztery tajemnicze litery — to SYSTEM AUTOMATYCZNEJ RACHUBY TELEKOMUNIKACYJNEJ, jaki wprowadza się w Urzędzie Telefonów Miejskowych w Łodzi. Wiesz o niewątpliwie radosna, bo dostał mnie słuch, że kilka osób dostało rachunki, w których pomyłka wynosiła około 500 zł. Miejmy nadzieję, że maszyna nie będzie się tak myliła. Ale na to jeszcze poczekać, bo dopiero w marcu SART obejmie pierwszych 5 tys. abonentów. Następnie każdego miesiąca do SART będzie się włączać dalsze 5 tys. abonentów.

■ **NIE BĘDZIE NIEDZIELI NA DWORCU.** Wojciech Młynarski polecił spędzenie niedziel na Głównym. Dobre mu dawać takie rady warszawiakom. Ale nam — łodzianom? Po pierwsze — nie ma w Łodzi dworca głównego. Po drugie — nie ma w ogóle dworców, bo to co jest tak nazywane, to są budynki udające dworce. A więc nie będzie u nas niedziel na żadnym dworcu. Na **FABRYCZNYM** — nadal trwa remont, choć zdecydowano, że ma on być zakończony do 22 lipca 1973 roku. W tym dniu ma być gotowy, wyremontowany dworzec Łódź-Fabryczna i przejście pod ul. Kilińskiego. A więc może w lipcu można będzie spędzić niedzielę na Fabrycznym — jak ktoś będzie tego bardzo chciał.

Mam jednak obawy, czy to będzie możliwe? Tempo prac remontowych — zresztą od samego początku — nie jest zgodne z harmonogramem. I od

początku nie jest to dla nikogo tajemnicą.

A ja zawsze uparcie powtarzam: **ZROBMY WSZYSTKO, ABY PRZEBUDOWA KALISKIEGO NIE TRWAŁA TAK DŁUGO I NIE BYŁA PORONIONYM POMYSŁEM!**

■ **WŁOCŁAWSKIE FAJANSE W ŁOWICZU.** Powstała przed stu laty fabryka fajansu we Włocławku, przedstawiała się od pewnego czasu na fajans artystycznie malowany. Patronem tych poszukiwań jest Muzeum Kujawskie we Włocławku. Ostatnio Muzeum w Łowiczu skorzystało z kontaktów z Muzeum we Włocławku i sprowadziło do Łowicza wystawę: „Malowane fajanse włocławskie”.

■ **RADOSNA WIADOMOŚĆ.** Gazety codziennie podają radosną wieść: „Nareszcie dobiega końca ekranizacja przygód Stasia i Nel”. Podzielać radość gazet codziennych, młodych bohaterów tych trosk o młodych towarzyszach ekranizacji. Przeleć Tomaszowi Mędrzakowi wasy mogły się już sygnę, mógł się zakończyć, a nawet ożenić i ciągle musiałby udawać nieopiecznego młokosa. A jakie niebezpieczeństwo groziło Monice Rosea? Nie, lepiej nie snujmy fantastycznych wizji. Nareszcie! Nareszcie ekranizacja. W pustyni i w puszczy? Dobiega końca.

A co z „Potopem”? Kiedy ukaże się kolejna radosna wiadomość, że „Nareszcie dobiega końca ekranizacja przygód Andrzeja i Oleńki oraz kilku innych osób”. PANOWIE! CZEKAMY! Osobiście zastanawiam się, czy nie wprowadzić poradnika dla filmowców. Co i w jakim czasie można byłoby jeszcze adaptować?

■ **18 LAT „SWATKI”.** Przez 18 lat istnienia Biuro Matrymonialne „Swatki” w Łodzi skłócało przeszło 2 miliony par. Tradycyjnie już w karnawalski obędzie się ośmiennastu BAL SAMOTNYCH. Obędzie się on 24 lutego br. w „EUROPIE”. Dochód z balu przeznaczono na Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia. Życzymy wesołej zabawy!

■ **ŁÓDZCY STUDENCI NIE SA GORSI.** Tak sobie pomyśleli i udali się do władz wyższych uczelni z pro-

pozycją odrestaurowania juwenaliów. Władze wyższych łódzkich uczelni w swoim majestacie propozycję przyjęły i wyraziły dla niej swą pełną przychylność. A więc w maju br. odbędzie się ponownie łódzkie juwenalia. Już kilkakrotnie próbowano zrobić coś takiego i już kilka razy nie wychodziło. Może więc tym razem? Tylko koncept potrzebny, Meści Panowie Zacy. Bez konceptu będzie bałagan i występ. A więc życzę Wam dobrych konceptów! Do maja czasu wiele i niewiele.

■ **„VENUS-70” W ŁODZI.** Tak się jakoś dziwnie składa, że stale trafiamy się radosną wieść. Radosnie donosiem o dobiegającej końca ekranizacji przygód Stasia i Nel, o zapowiedzi łódzkich juwenaliów, a teraz następna radosna wieść. W salach wystawowych ŁDK otwarto wystawę fotograficzną: „Venus-70”. Co więcej, już w niedługim czasie zawitają do Łodzi następne „Venusy” — i tak „Venus-71”, a po niej „Venus-72”. Na „Venus-73” przyjdzie nam poczekać, jak co się jeszcze nawet w Krakowie nie odbyło.

■ **„MAM TE NADZIEJE, ŻE NIE BĘDZIEMY SIĘ OŚMIESZAĆ PROTĘSTAMI...”** (kat.). „Dzienniku Łódzkim”: „Donoszę wszystkim sensatom, zamaskowanym erotomanom i purytanom... Wystawa jak wystawa. Są na niej fotografie bardzo dobre, dobre, średnie i złe. Na pociechę informuję wszystkich zgorszonych, iż wiosną obędzie się w ŁDK wystawa kwiatnych kaktusów. Jest w czym wybierać”.

A do wiosny już niedaleko, przynajmniej tej kalendarzowej, bo faktyczna mamy od dawna.

■ **ZMS — DZIENNIKARZOM.** Ogłoszone wyniki IV Konkursu Zarządu Łódzkiego ZMS dla dziennikarzy. Nagrodę za całokształt twórczości w roku ubiegłym otrzymała Halina Batorowicz z „Głosu Robotniczego”. W po-



szczególnych działach nagrody otrzymali: Jerzy Kraskowski z „Dziennika Łódzkiego”, Eugeniusz Lech z „Expressu Ilustrowanego”, ANDRZEJ MAKOWIECKI z „Odgłosów”, Ryszard Binkowski z „Głosu Robotniczego” i BOGDA MADEJ z „Odgłosów”. Przyznano też wyróżnienia: Jackowi Indelakowi z „Expressu Ilustrowanego”, zespołowi Polskiego Radia w Łodzi w składzie: W. Luszczkiewicz, H. Polak, K. Turowski, A. Królikowski, J. Wojciechowski oraz za fotoreportaż Andrzeja Wachowi z „Dziennika Łódzkiego”.

Nagrody dziennikarzom przyznał też Zarząd Wojewódzki ZMS w Łodzi. I nagrodę otrzymała Halina Batorowicz z „Głosu Robotniczego”. Nagrody otrzymali: Hanna Sumińska z „Zycia Pabianie”, Gizela Kerste z „Ziemie Łęczyckiej”, Zygmunt Foltynski z „Głosu Robotniczego”, Stanisław Czekalski z „Zycia Pabianie” i Zbigniew Kuna z „Dziennika Łódzkiego”.

Wszystkim nagrodzonym serdecznie gratulujemy.

M. R.



## ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji).

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, W. SŁAWSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.



Świat bacznie przygląda się procesom, przywracającym pokój Wietnamowi. Jest to zrozumiałe. Z definitywnym zakończeniem indochińskiego konfliktu wiąże się nadzieja na dalsze odprężenie w świecie. Pojawia się więc obawa, czy aby coś nie zakłóci uzgodnionej przez długie miesiące struktury pokoju, zarysowanej porozumieniem paryskim. Na szczęście miniony tydzień zmniejszył ilość incydentów zbrojnych, co wiąże się niewątpliwie z faktem, że Międzynarodowa Komisja Kontroli i Nadzoru mogła już wystać swe ekipy w teren.

Z zadowoleniem przyjęto wiadomość, że bezpośrednio zainteresowane strony uzgodniły miejsce międzynarodowej konferencji w sprawie Wietnamu, która rozpocznie się 26 lutego. Odbędzie się ona w Paryżu. Minister Spraw Zagranicznych Francji — Maurice Schumann zaproponował, aby przewodniczył jej sekretarz generalny ONZ.

Czego można spodziewać się po tej konferencji? Przede wszystkim stworzenia takiego systemu gwarancji, który pozwoli ściśle wypełnić porozumienie paryskie. Przerwanie działań wojennych i ustalenie zasad przywrócenia pokoju nie wygasilo przecież sporów politycznych. Będą one dawały o sobie znać przy stołach konferencyjnych, a nie można wykluczyć, także w różnych manewrach poza salami obrad. Stawką są bowiem nie tylko Indochiny, ale cała Azja południowo-wschodnia. Nie ukrywają tego niektórzy politycy amerykańscy, nawet w oficjalnych wypowiedziach. Międzynarodowa konferencja ma więc niejako włączyć do porozumienia większą liczbę krajów i zapewnić wspomniany system gwarancji. Dziś trudno przewidzieć, czy będzie ona trwała kilka dni, czy kilka tygodni i jaki — łatwy czy trudny — będzie jej przebieg.

Tego samego dnia, kiedy w Paryżu zbierze się konferencja w sprawie Wietnamu, w Helsinkach — po kilkunastodniowej przerwie — rozpocznie się trzecia runda wielostronnych konsultacji. Druga zakończyła się w atmosferze zadowolenia z osiągniętego postępu. Dni przerwy w obradach będą wypełnione rozmowami ambasadorów ze swymi rządami. Jaki jest bilans dotychczasowych konsultacji?

Można stwierdzić, iż w dość znacznym stopniu zbliżyły się stanowiska 34 krajów co do punktów porządku dziennego konferencji ministrów spraw zagranicznych. Nie temat bezpieczeństwa i współpracy. Rozbieżność dotyczy obecnie nie tyle tematyki konferencji, ile sposobu podejścia do określonych problemów. Na te „dotychczasowe” dyskusje okazuje się, że bardziej jednoznaczne są problemy bezpieczeństwa niż współpracy, której np. nie można sobie wyobrazić bez odejścia od dyskryminacji w stosunkach gospodarczych.

Przedstawiciele krajów socjalistycznych wykazują w toku konsultacji wiele dobrej woli, inicjując rozsądne kompromisy. Takich postaw w nieuzgodnionych jeszcze kwestiach oczekujemy również od naszych partnerów w rozmowach.

Przewidywania co do dalszego biegu konsultacji są optymistyczne, dziś czwarty termin konferencji jest więcej niż prawdopodobny.

\* \* \*

Od problemów, które będą lub są przedmiotem dyskusji z udziałem wielu krajów, przejdźmy do niektórych innych wydarzeń tygodnia.

Jednym z nich jest dalsze nasilenie się kryzysu walutowego na Zachodzie. Od kilkunastu dni trwa miliardowy napływ dolarów do NRF, przed którym banki zachodniomociekie bronią się zakupem waluty amerykańskiej. Tylko w dwóch dniach ub. tygodnia wielkość tych zakupów wyrażała się sumą 20 mld marek. W ten sposób NRF chce za wszelką cenę nie dopuścić do ponownej rewaluacji marki, co utrudniłoby możliwości eksportowe tego kraju. Waszyngton natomiast domaga się rewaluacji, zresztą nie tylko marki, ale także japońskiego jena i innych walut, co zwiększyłoby amerykańskie zdolności eksportowe. Sytuacja jest poważna, coraz donośniej rozlegają się głosy aby zwołać międzynarodową konferencję. W Bonn nie wyklucza się także wizyty Brandta w Waszyngtonie, której celem byłoby znalezienie wyjścia z kolejącej fazy kryzysu. Chroniczna choroba zachodniego systemu monetarnego znów objawiła się rozległymi komplikacjami.

Z innych wydarzeń zasługuje na odnotowanie wzrost aktywności dyplomatycznej na Bliskim Wschodzie. Jej przejawami są: rozmowa specjalnego wysłannika prez. Sadata z min. Gromyką, — H. Ismaila przyjęty został również przez L. Breżniewa — wizyta Husajna w Waszyngtonie oraz zapowiedziany przyjazd tamże Goldy Meir, tajne obrady szefów Egiptu, Syrii i Libii, rozmowa egipskiego ministra spraw zagranicznych z kilkoma ambasadorami państw wschodniej i zachodniej Europy.

Zbieżność tych faktów z zakończeniem wojny wietnamskiej nie jest przypadkowa. Teraz na plan pierwszy wysuwa się niewątpliwie konflikt bliskowschodni, a klimat do jego pokojowego rozwiązania może być pomyślny. Taką opinię wyraża prez. Sadat, który raz jeszcze (komentatorzy piszą: być może ostatni) chce podjąć pokojowe wysiłki i otworzyć drogę do likwidacji skutków izraelskiej agresji.

Oczywiście, warunkiem powodzenia tych inicjatyw musi być zrealizowanie przez Izrael rezolucji Rady Bezpieczeństwa. W przeciwnym wypadku żadne bezpośrednie rokowania nie będą mogły mieć miejsca. Takie jest słuszne stanowisko Egiptu i innych krajów arabskich. Niestety — od tej zasady, jak donoszą agencje, zamierza odstąpić Husajn, który oświadczył ostatnio, że gotów jest podjąć odrębne negocjacje z Izraelem.

W. ŚLAWSKI

Pewnej niedzieli młodzież ZMS-owska z Zakładów Przemysłowych „Komuna Paryska” w Radomsku, objęła władzę w fabryce. Nazwano to umownie „dyrektorską niedzielą”. Może dlatego, że nie było wtedy w fabryce ani jednego dyrektora. Na wszystkich stanowiskach pracowali tylko młodzi. Postanowili, że dodatkową pracą uratują zagrożony plan. I udało się.

Inny przykład. Przedstawiciele kutnowskiej organizacji Związku Młodzieży Socjalistycznej na niedawnym zlocie przodującej młodzieży zakładów metalowych województwa łódzkiego wystąpili z postulatem utworzenia w Kutnie technikum elektronicznego. Swój wniosek motywują rozsądnie i konkretnie: w Kutnie jest „Miflex” — przedsiębiorstwo wytwarzające elementy do różnych urządzeń elektronicznych. W zakładzie tym — jak obliczono wstępnie w zarządzie zakładowym ZMS — blisko 300 młodych ludzi, absolwentów zasadniczych szkół zawodowych powinno ukończyć technikum. Już teraz można by otworzyć trzy pierwsze klasy dla pracujących. Wnioskiem tym postanowiono zainteresować Kuratorium Okręgu Szkolnego Łódzkiego.

KSR. Nie tylko udział formalny. Udział rzeczywisty. — W radach zakładowych — mówią w Zarządzie Wojewódzkim ZMS w Łodzi — mało jest młodych, a przecież zadania związków zawodowych i ZMS są podobne. A przecież powinniśmy dla ich realizacji łączyć siły. Chcemy działać na rzecz całej załogi. Chcemy uczyć się myśleć o potrzebach wszystkich pracowników, występując z inicjatywami, które korzyść przyniosą nie tylko młodzieży.

Również praca ZMS-owców w samorządzie robotniczym jest, raczej, formalna. Przedstawiciele ZMS są wprawdzie członkami KSR, ale nie zawsze mają możliwość reprezentowania tam poglądów całej organizacji ZMS — całej młodzieży. — Materiały przygotowane na posiedzeniach KSR są czasem trudne, najeżone zwrotami technicznymi — mówią ZMS-owcy. — Dostajemy je zbyt późno i nie mamy czasu zapoznać się z nimi, nie mamy czasu przedyskutować ich na posiedzeniach zarządu, nie mówiąc już o dyskusjach w kołach ZMS.

Organizujemy szkolenie ekonomiczne dla młodzieży uczestniczącej w KSR — mówią w Zarządzie Wojewódzkim ZMS w Łodzi.

To na pewno potrzebne, ale problem trzeba rozwiązywać na miejscu, w przedsiębiorstwie. Nie można zapominać, że „idzie następna zmiana” i że trzeba ją u-

## BOGDA MADEJ

1880 młodych — 367 osób ma tylko świadectwo szkoły podstawowej, w Fabryce Maszyn „Fazema” w Radomsku na 700 młodych wykształcenie podstawowe posiada 170 osób.

ZMS różnymi sposobami stara się zachęcać młodzież do nauki. Podejmuje m. in. akcję, której tytuł, wprowadzie nieco przydługi, jest jednak wiele obiecujący: „Wiedza i kwalifikacje podstawą awansu młodych”. Można tylko się obawiać, że w nadmiarze różnorodnych akcji nie wszystkie wiodą do nakreślonego celu. Nie raz jeszcze sprawozdawczość i statystyka przesłaniały istotne zamierzenia. Szkoda byłoby, gdyby wiedza i kwalifikacje miały służyć tylko do odnotowania w sprawozdaniach, a nie były rzeczywistą podstawą awansu młodych. ZMS podejmuje wiele pożytecznych i interesujących akcji, ale w praktyce napotyka one jednak na przeszkodę, o której powinno się pamiętać w momencie planowania akcji. ZMS objął na przykład patronat nad budownictwem mieszkaniowym. Niedawno obliczono, że każdy, kto chce wcześniej otrzymać spółdzielcze mieszkanie, powinien pracować około 2.500 godzin. Taki wkład konkretnej pracy da mu prawo do wcześniejszego otrzymania mieszkania.

# DRUGA ZMIANA

## SZANSA MŁODYCH

Jeśli się mówi, że Związek Młodzieży Socjalistycznej przygotowuje młodzież do współgospodarzenia krajem, że jest szkołą przyszłych kadr, że w codziennej działalności kształtuje obywateli, ale postawy młodych, to takie przykłady są praktyczną realizacją programowych założeń organizacji. A przecież nie są to przykłady jedne.

Wzmyśmy choćby oszczędzanie. Nie chodzi tu o comiesięczne zgłaszanie się do o. kienka PKO, aby odłożyć część zarobków na mieszkanie, samochód, czy wycieczkę zagranicą, choć i takie oszczędzanie ZMS też propaguje. Chodzi tu jednak o inny rodzaj oszczędności — w skali zakładu, regionu, w skali całego kraju, chodzi o oszczędzanie materiałów, energii, paliw. ZMS-owcy z Zakładów Motoryzacyjnych w Głownie dzięki rozsądnej gospodarce zmniejszyli zużycie części zamiennych, metali kolorowych, paliw i stali, co przyniosło oszczędności 295 tys. złotych. Podobnie ZMS-owcy z Łęczyckich Zakładów Górniczych zmniejszyli zużycie pasów transmisyjnych, stali, energii elektrycznej i węgla, co przyniosło dodatkowo 994 tys. złotych. To już prawie milion. Dodajmy do tego 40 tys. złotych, które w ramach akcji „Porządek i oszczędność” dali młodzi z Zakładów Przemysłowych „Komuna Paryska” w Radomsku, a ogólna suma znacznie się powiększy. A do tego rachunku dołożyli się młodzi ze wszystkich prawie fabryk województwa łódzkiego. W sumie zaoszczędzili ponad 8 milionów złotych.

Można ten wysiłek młodych ocenić tylko statystycznie. Policzcie ilość zaoszczędzonej stali, metali kolorowych, energii i paliw. Do tego dołóżcie wartość dodatkowej produkcji,

wartość oszczędności jakie przyniosły pomysły racjonalizatorskie, drobne usprawnienia i większe wynalazki. Zebrałaby się okazać na sumę. Jest to na pewno piękny i wartościowy wysiłek, ale trzeba też spojrzeć na niego nie tylko poprzez liczby statystycznych sprawozdań.

Partia rzuciła hasło: ZBUDUJEMY DRUGĄ POLSKĘ! Tę drugą Polskę mają budować młodzi. Czy są do tego dostatecznie przygotowani? Czy to, co robią dziś, jest właściwym wstępem do pracy, jaka ich czeka w najbliższej przyszłości? I czy nie jest to przygotowanie zbyt jednostronne?

Młodzi są najczęściej potrzebni do rozwiązywania konkretnych zadań. To na pewno dobrze. Kiedy trzeba coś zrobić dla fabryki, dla osiedla, dla miasta, woła się do pomocy młodych. Ale to jest tylko jedna strona pracy wychowawczej — stawać młodym zadanie i kontrolować wykonanie, uczyć ich dobrej roboty. A przecież chodzi również o to, żeby nauczyć ich racjonalnego myślenia. O sprawach swoich, ale i o sprawach całego społeczeństwa. Jest tu też miejsce na uczenie młodych, jak zarządzać swoim zakładem pracy. „Dyrektorska niedziela” w radomszczańskim „Komunie Paryskiej”, kiedy to ZMS-owcy zasiedli w dyrektorskich fotelach, kiedy stanęli na kierowniczych stanowiskach i przy warsztatach, pokazała, że potrafią nie tylko pracować, potrafią też kierować pracą. Takich „dyrektorskich niedziel” było jednak, jak do tej pory, mało. Miejsy nadzieje, że będzie ich więcej. Bo jest to chyba dobry sposób, żeby uczyć myśleć o interesach szerszych niż własne. Dalszy ciąg tej nauki to udział młodych w pracy rad zakładowych, rad robotniczych, posiedzeniach

czyć, przygotowywać, nawet podpowiadać, stawiając przed nią coraz trudniejsze i odpowiedzialne zadania. W każdej fabryce są młodzi z dyplomami szkół wyższych, średnich i ci bez dyplomu. O żadnych nie można zapominać.

Oczywista to prawda, że podnoszenie kwalifikacji jest sprawą ważną dla wszystkich. Szuka się więc różnorodnych form, które mają zachęcić młodzież do dalszej nauki. Jedną z nich jest Turniej Młodych Mistrzów Zawodu. W ubiegłym roku wśród młodych z zakładów przemysłu metalowego woj. łódzkiego najlepszym wśród ślusarzy okazał się ANDRZEJ SZCZESNIAK z Zakładów Motoryzacyjnych w Głownie, wśród ekonomistów — MARCIN SZUBIELAK, wśród techników — ZBIGNIEW GRABARCZYK z ZM im. J. Strzelczyka w Pabianicach, a wśród inżynierów IRENEUSZ KUCZBORSKI z Fabryki Maszyn Górniczych „Pioma” w Piotrkowie Trybunalskim.

Był czas, kiedy problemem dla młodych było zdobycie wykształcenia podstawowego. Dziś, w centrum szerokiego zainteresowania znalazło się już wykształcenie średnie. W tym to właśnie kierunku zmierza postulat kutnowskiej organizacji ZMS, o którym wspominałam w wstępie. Dziś organizacje ZMS obliczają, ilu to młodych ma tylko wykształcenie podstawowe, szukając jednocześnie sposobów zachęcenia ich do dalszej nauki.

I tak obliczono, że w Zakładach Transformatorów Radłowych „Zatra” w Skierńwiecach na 780 młodych 356 osób legitymuje się tylko świadectwem ukończenia szkoły podstawowej. W piotrkowskiej Fabryce Maszyn Górniczych „Pioma” na

W Pabianicach jednakże — na skutek nieprzemysłowej decyzji kontrahentów — doszło do dewaluacji pożytecznej idei patronatu. Młodzi pracowali, ale mieszkań im nie przydzielono. Obawiam się, że podobnie może być z akcją „Wiedza i kwalifikacje — podstawą awansu młodych”. Akcję inicjuje i prowadzi ZMS. Awans daje dyrekcja przedsiębiorstwa. Czy zawsze o awansie decydują wiedza i kwalifikacje? W codziennej praktyce różnie to jeszcze bywa i dlatego ZMS inicjując tę akcję, powinien pamiętać o jej ewentualnych skutkach, o tym, aby słuszne hasło znalazło rzeczywiste potwierdzenie w praktyce.

Wiele jest różnych problemów DRUGIEJ ZMIANY — tych, którzy będą kontynuować zaczęte przez nas dzieło budowy DRUGIEJ POLSKI. Można byłoby powiedzieć jeszcze o młodych radnych, których nie ma znów tak wiele i pracą których nie zawsze interesuje się organizacja ZMS. Można byłoby powiedzieć o pracy wychowawczej wśród młodych sportowców, bo, podobno, to rzecz ważna, można byłoby o turystyce, wypoczynku i kulturze...

O sprawach tych mówić się będzie na V Krajowym Zjeździe Związku Młodzieży Socjalistycznej. Zjazd ten wytyczy dalsze kierunki pracy, pokaże perspektywy i cel, jaki tej pracy będzie przyswiewcał. Pomoże młodym w rozwiązywaniu wielu skomplikowanych problemów naszej współczesności. Pomoże uczyć się myślenia o przyszłości i pracy dla przyszłości, tej, którą sami będą kształtować.

# CZŁOWIEK NAZWISKIEM KOPERNIK

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Trafnie zauważył Jerzy Joachim Retyk z Wittenberga, przyjaciel polskiego astronoma i pierwszy biograf: „Tak wielki to ogrom pracy, że nie każdy bohater mógłby go udźwignąć”.  
Kopernik porwał się bowiem nie tylko na odległe ciała niebieskie; porwał się na ziemskie potęgi, które czujnie strzegły niewzruszonego porządku ziemskiego. Wolną myśl krepawała wizja stosu, na którym spłonął potem jeden z pierwszych entuzjastów kopernikańskiej nauki, Giordano Bruno.

Są to zresztą sprawy na tyle znane, że nie ma potrzeby omawiać ich szerzej, choć niewątpliwie musimy o nich nieustannie pamiętać, gdy mówimy o człowieku nazwiskiem Kopernik. Tym człowieku, którego twarz znamy spouda setki wizerunków rozpowszechnionych już wówczas, gdy waga odkrycia, którego dokonał, znalazła zrozumienie u milionów. A przecież mimo to funkcjonuje on w naszej świadomości raczej jako symbol przewrotu w przyrodoznawstwie, niż jako człowiek z krwi i kości.

Wielki astronom Kepler, który rozwinął ustalenia Kopernika, napisał o nim: „To człowiek wyższego geniuszu i, co w tym zagadnieniu jest szczególnie ważne, człowiek wolny duchem”.

Ludzi tego rodzaju nie brakowało zresztą w epoce Renesansu, który dał Polsce Andrzeja Frycza Modrzewskiego, Mikołaja Reja i Jana Kochanowskiego. Nie brakowało ich zwłaszcza w Krakowie, gdzie rektorem uniwersytetu był w tym czasie Maciej z Kobylna.  
O rodzinie Kopernika wiemy stosunkowo dużo, co jest zasługą dzieł naukowych badaczy, takich choćby jak Śniadecki, L. Chodźko, K. Hube, D. Szulc, a do czego w dużej mierze przyczyniły się zabobrze tendencje nauki niemieckiej, która daremnie zresztą, starała

się przypisać naszemu astronomowi niemieckie pochodzenie. Wywieziono więc szczegółowo ród Koperników ze wsi Koperniki na Śląsku. „W Krakowie pierwszy z Koperników Mikołaj w r. 1396 przyjął obywatelstwo, od tego czasu wielu tego nazwiska mieszkało w Krakowie, wielu posiadało domy w mieście i na Kleparzu, Kopernikowie w początkach panowania Jagiellonów używali wielkiej wziętości i zostawali w zażyłości ze znakomitymi osobami”.  
Wiemy także że ojciec astronoma, również Mikołaj ożenił się z Barbarą Wartenrodę, siostrą kanonika kapituły wrocławskiej, późniejszego biskupa warmińskiego. Z małżeństwa tego zrodziło się czworo dzieci.

Kopernik wczesnie utracił ojca i edukacją przyszłego astronoma zajął się wuj, Łukasz Wartenrodę, żarliwy patriota, czego nieraz dawał dowody. Atmosfera domu rodzinnego miała zapewne nie mały wpływ na zainteresowania chłopca, którego przyszłe odkrycie astronomiczne wstrząsnęło światem. I chociaż biografie wielkich ludzi, zwłaszcza spisywane po latach, zawsze są retuszowane, nie mamy powodów nie zaufać badaczom, którzy stwierdzają, że Mikołaj Kopernik już w wczesnym dzieciństwie był nad swój wiek poważny, a w toruńskiej szkole przy kościele św. Jana „ciągle oddawał się łacinie i rysunkom, zamiast bawienia się z rówieśnikami”.

Jest rzeczą zrozumiałą, że nazwisko Kopernik kojarzy nam się z heliocentryczną budową układu planetarnego i rzadko pamiętamy, że wielki astronom był jednocześnie gorliwym kapłanem, wziętym lekarzem, uzdolnionym inżynierem a także pisarzem, malarzem i numizmatykiem, wreszcie administratorem i gospodarzem wiejskim jako dzierżawca Olsztyńka. Był prócz tego kartografem i ekonomistą, wynalazcą i poetą. Ta mnogość zainteresowań i wielokierunkowa działalność jest zresztą cechą epoki, która go wydała. Mikołaj Kopernik to typowy człowiek Renesansu. Ale życie uczuciowe wielkiego astronoma więcej wzięło z epoki poprzedniej. Poemat „Septem Sidera” (Siedem gwiazd) odnaleziony w 1619 przez Jana Brozka cechuje średniowieczną wprost żarliwość religijną i ani razu nie zabrzmi w nim nuta własna, osobista.

A przecież ten zdyscyplinowany kapłan i szczerzy wynalazca wiary chrześcijańskiej, zadał największy w historii cios autorytetowi Kościoła obalając system Ptolemeusza, który był kamieniem probierczym prawomyślności katolickiej. „Almagesta” rozprawa Ptolemeusza, była ewangelią nie tylko dla astronomów, była przecież zarazem oficjalnym poglądem Kościoła. Kto podważał ten system narażał się na klątwę, choć Kopernik już tego nie dożył. 5 marca 1616 r. główne dzieło astronoma „De revolutionibus orbium coelestium” zostało potępione przez kongregację Indeksu jako „zawierające myśli podane za prawdziwe o położeniu i ruchu ziemi, a zupełnie sprzeczne z Pismem Świętym”. Z indeksu dzieł zakazanych książka Kopernika została usunięta dopiero w r. 1828, choć jeszcze w r. 1830 duchowieństwo warszawskie odmówiło swego udziału w uroczystościach odsłonięcia pomnika Kopernika w Warszawie powołując się na dekret kongregacji.

Stojąc tak blisko wyższego duchowieństwa, typowany zresztą na godność biskupa, Kopernik uswiadomił sobie znaczenie przewrotu, który miał sprawić swoim dziełem. Świadczy o tym choćby wprowadzenie do „De revolutionibus”, w którym przypomina o istnieniu ludzi, „którzy pomimo że są nieukami w kwestiach matematycznych, przecież przy-

chwiała nieporuszonymi fundamentami kościoła. Po bożny kapłan obawiał się nie bez racji, że jego teoria przyspieszy ten proces.  
Kopernik, który potrafił

Kopernika w jarmarczonym teatryku w Elblągu wywołując wesołość gawiedzi. „Nie jest przecież tajemnicą — pisze Kopernik w „De revolutionibus...” — że Lak-

Młody zapalenie przekonał sędziwego myśliciela. Aby szybko ogłosić tajemnice wszechświata Retyk robi wyciąg dzieła Kopernika i pod tytułem „Narratio Prima” ogłasza w Gdańsku. Potem jedzie do Wittenberga z odpisem autografu książki wielkiego astronoma, które ogłoszone zostaje w Norymberdze. Kopernik poprzedził swoje dzieło wstępem skierowanym do papieża Pawła III, który przyjął ofiarowaną sobie dedykację, co zdaje się świadczyć o tym, że zaakceptował nową naukę. Albo też, że nie zrozumiał jej rewolucyjnego charakteru. Niemieccy uczeni trafniej pojęli znaczenie dzieła i obawiając się wstrząsu w Europie, usunęli oryginalną przedmowę zastępując ją nową, która łagodziła wymowę książki. Co Kopernik przedstawiał jako pewniki, w przedmowie Osiandera określone zostaje jako przypuszczenia, które jednak mogą posłużyć do wytłumaczenia zjawisk wszechświata. Autora nie zawiadomiono o tych zmianach i dowiedział się o nich z pierwszego egzemplarza wydrukowanej książki, którą przysłano do Fromborka. Był już wtedy Kopernik gasnącym, siedemdziesięcioletnim starcem, unieruchomionym paraliżem. Gniew Watykanu dosięgnął go dopiero po śmierci, kiedy zakazano rozpowszechniania dzieła. Ale nie udało się to już na nic, gdyż, jak zauważył Fryderyk Engels „Kopernik udrzela dymisji teologii”.

„Gdyby Polska nie wydała była Kopernika, Francja nie zaszczyciłaby się Kartezym ani Anglia Newtonem”, stwierdził Stanisław Staszic, inicjator budowy pomnika wielkiego astronoma w Warszawie. Syn mieszczański otworzył nowy etap w nauce dając poważny wkład w rozwój umysłowy ludzkości.

KONRAD  
FREJDICH

## TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI DE REVOLUTIONIBUS...

Spoczynkiem tchnęły ziemskie istoty,  
Blizszy niebianów sam Kopernik czuł.

LUDWIK OSIŃSKI

Kiedy wszystko się stało — nikt nie wiedział o tym:  
Kuba pił do Jakuba i grzmotnął o stryżek,  
Ryby i węże morskie nurtowały ciszę,  
Diabeł na teku szpilki uwierał sny mniszek,

Karczmarza włos treflił, z niewieściej pustoty,  
Prot kantor wlażył ku dzieckom na rąsiek, z ochoty,  
Pies ujadł — do sadu wkradł się bazyliżek,  
Niebo było jak zawsze — wrone z prochem złotym.

Więc nikt o tym nie wiedział. Tylko od Zalewu  
Rybacki po północy zawsze ciągnął niewód  
Podejrzeli: „Kanonnik znów zziębł w noc odmieniana”.

A On dłonie upalne odjawszy z torquetum  
Zadrzał... Ukłął na baszcie jak biegacz u mety...

Wtedy Słońce stanęło, a ruszyła Ziemia.

energicznie bronić interesów kapituły warmińskiej w sporze z Krzyżakami, obrotny ekonomista postępujący reformę monetarną w oparciu o projekt poprawy pieniądza i ujednolicenia monety pruskiej i polskiej, budowniczy

tancjusz, głośny zresztą pisarz, lecz słaby matematyk, mówił o kształcie Ziemi zupełnie jak dziecko, sztyjąc z tych którzy podali, że Ziemia ma kształt kuli. Nie powinno więc dziwić ludzi nauki, jeżeli tacy jacyś i mnie będą wysmiewali”.  
Ale kardynał Mikołaj Schenberg z Rzymu posławszy o Koperniku prosi o nadesłanie kopii dzieła i zachęca autora do ogłoszenia go drukiem. Biskup chełmiński Gize, przyjaciel astronoma, pisze do Erazma z Rotterdamu i do Jerzego Retyka. Zainteresowanie badaniami Kopernika w Niemczech rośnie. Wreszcie profesor Schoner wysyła do Fromborka Retyka, który porzucił katedrę w Wittenberdze i współpracując przez dwa lata z Kopernikiem staje się entuzjastą jego systemu.

„Gdy zostałem widzem i świadkiem prac — relacjonuje swoje spostrzeżenia Retyk — które chętnym umysłom przedsięwzięł i po większej części pan doktor, mój Nauczyciel już pokonał, widzę, że nie wystawiłem sobie ani cienia nawet tak wielkiego ogromu pracy”.

*W imię wolności*

właszczyli sobie sąd o nich i z powodu jakiegoś miejsca w Piśmie Świętym zechcą to dzieło potępić i napostawiać”. Wiedząc o tym wahał się opublikować swe przemyslenia stanowiące dorobek całego życia. Nawet nie z obawy o konsekwencje, które mógłby ponieść osobiście. W tym czasie na zachodzie Europy szerzy się już reformacja, która za-

fortyfikacji w Olsztynie, dzięki której odparto krzyżacki napad i żołnierz bez wahania biorący udział w walce, zwlekał z ogłoszeniem rezultatów swoich badań astronomicznych. Władomości o nich szerzą się zresztą w Europie wzbudzając u jednych zainteresowanie, u innych śmiech. Jakiś platny agent krzyżacki wydrwiwa ustalenia

przyjdzie widź samodzielnie myślący, wrażliwy odbiorca, którego stać na własne zdanie o przedstawieniu.

„Ale wiemy, że takich widzów jest nie tak wielu. Większość, tak jak Jerzy Katarasiński, weteran tzw. „speców”, w tym wypadku recenzentom. Jerzy Katarasiński zupełnie niepotrzebnie wysłał się na pseudo-dowcipne streszczenie „Traviaty”. Zrobiła to dużo lepiej w programie do tej opery Magdalena Samozwaniec. Własne pomysły i sugestie uzupełniające libretto, jak owe niechce zamyśli ojca Alfreda w stosunku do Violetty, to oczywiście tworzy wkład recenzenta... O tym, że libretto jest naiwne, wie każdy, ale nie można o to winić reżysera, który właśnie zrobił wszystko, co można było, aby je odbanalizować, dostarczyć w nim pewne zawsze aktualne problemy ludzkie. Oczywiście, mógł tego dokonać w oparciu o muzykę Verdiego, bardzo piękną, bezbłędnie wyrażającą to, czego libretto wyrazić nie potrafiło. Tej właśnie muzyce podporządkowana jest inscenizacja i scenografia. Gdyby reżyser odczytał muzykę Verdiego tak jak Jerzy Katarasiński i jego znajomi, jako „władczą i katarynkową”, to na pewno mielibyśmy coś na kształt „Orfeusza w piekle” lub „Wesołej wdówki”. Kurtynka byłaby śliczna, kolorowitka, chór w barwnych szatach płaśnąłby walcem — sielanka na trochę jednak ponury temat! Ale „beztroski” reżyser, Guram Meliwa, zamordował w „Traviacie” operetkę chcąc pokazać widzom prawdziwego Verdiego, wielkiego, choć tak poufale poklepanego po ramieniu przez Jerzego Katarasińskiego. Śmierć Violetty, która nie umiera w łóżku zgodnie ze sztuką operową, ale zrywa się, aby iść do świata, do życia i dopiero tu pada — właśnie przez takie ustawienie jest tragiczna i wrzaskująca. Ale prawdziwie odczytanie tej sceny to już sprawa wrażliwości widza. Pretensje do scenografa o monumentalność, o czerń kotar (czyżby Jerzy Katarasiński po raz pierwszy widział dekoracje na czarnych kotarach, że tak go to szokuje?), są zbyt naiwne, żeby z nimi dyskutować na serio.”

Teresa Wojciechowska w swojej recenzji wypowiada się na temat scenografii trochę tak, jak na imieninach u cioci. Stwierdzenie, że dekoracje są brzydkie, niezgodne ze sztuką. Mam tu ochotę przekrotnie zapytać — a skąd Pani to wie? Bo czy można mieć zaufanie do fachowej recenzenta, który dojrzał w dekoracjach do „Traviaty” ornamenty wschodnie? Otóż kląć się na Verdigo, że nie ma w moich dekoracjach ani jednego ornamentu, ani wschodniego, ani zachodniego.

Starłam się stworzyć malarzską oprawę do muzyki Verdigo — to wszystko.  
Oczywiście recenzentka ma prawo nie podobać się mojej dekoracji i kostiumy, ale nie ma ona prawa stwierdzać tego jako obiektywnego faktu. Bo niby z jakiej racji?

Zadziwiająca jest łatwość, z jaką ludzie piszą na temat sztuki. No cóż, pozornie jest to temat łatwy, taki nieuchwytny, subiektywny. Nikt nie odważy się wydrukować subiektywnej, niefachowej oceny operacji chirurgicznej, bo naraża się na śmiech lekarzy, a poza tym może być przez nich oskarżony. Jeśli gołdził w ich dobre imię, Nieprzewidywalna, subiektywna, niefachowa recenzja szkodzi twórcom przedstawienia obniżając wartość jakże często ciężkiej pracy całego zespołu teatralnego.

Oczywiście, istnieje prawo do wypowiedzi na temat sztuki, w tym i przedstawień teatralnych. Ale radzę recenzentom, aby nie powoływali się na opinie wpatliwych „speców”, lecz raczej polegał na własnym zdaniu, które można uczynić dużo znaczącym, jeśli się rzeczywiście zna temat, na który się pisze. W wypadku przedstawień operowych jest to szczególnie trudne zadanie — wymaga wiedzy o muzyce, plastyce, reżyserii itp.

Apel Jadwigi Łużyńskiej-Dorobowej o uaktywnienie krytyki plastycznej w pełni popieram — mam nadzieję, że jak specjali-

stów z innych dziedzin życia bronili przed krzywdzącą opinią ścisła nauka, tak ludzi sztuki będą oceniali mądrzy, opierający swe recenzje na dużej wiedzy, krytycy.

BARBARA JANOWSKA  
(Łódź)

OD REDAKCJI:

Z pewnym opóźnieniem drukujemy polemiczny list Barbary Janowskiej. Dla zorientowania Czytelników wyjaśniamy, że obie recenzje ukazały się w grudniu ub. roku. Recenzja T. Wojciechowskiej w „Expressie Ilustrowanym”, a J. Katarasińskiego — w „Dzienniku Łódzkim”.  
List Barbary Janowskiej zdecydowaliśmy się drukować dlatego, że jest on odpowiedzią na artykuł Jadwigi Łużyńskiej-Dorobowej.

\* \* \*

HISTORIA ZSRR W POLSCE

W końcu ubiegłego roku odbyło się w Moskwie sympozjum wykładowców historii ZSRR z krajów socjalistycznych, zorganizowane przez Wydział Historyczny Uniwersytetu im. Lomonosowa.  
Na kierunkach historycznych radzieckich Uniwersytetów i Instytutów Pedagogicznych historia krajów słowiańskich (Polski, Bułgarii, Czechosłowacji, Jugosławii), jest wyodrębniona i stanowi przedmiot obowiązujący ogół studentów historii, równocześnie może ona także stanowić specjalizację i temat pracy magisterskiej.

W Polsce, Bułgarii, Czechosłowacji, Mongolii, Republice Ludowej i NRD, historia ZSRR stanowi wyodrębniony przedmiot obowiązkowy dla studentów hi-

storii, a częściowo także i filologii rosyjskiej na Uniwersytetach i Wyższych Szkołach Pedagogicznych. Natomiast na wyższych uczelniach Rumunii, Jugosławii i na Węgrzech, historia ZSRR jest traktowana jako część historii powszechnej, lecz studenci mają możliwość pisania prac dyplomowych i słuchania wykładów monograficznych z zakresu historii ZSRR.

Prace naukowo-badawcze z historii ZSRR są prowadzone na szerszą skalę jedynie w Polsce i Czechosłowacji, a częściowo także w NRD. Szkoły wyższe bynajmniej nie odgrywają w tych dziedzinach roli wiodącej. W Polsce głównymi środkami badań w zakresie historii ZSRR są placówki Polskiej Akademii Nauk, a zwłaszcza Zakład Historii Stosunków Polsko-Radzieckich, który w najbliższym czasie ma przekształcić się w Instytut Historii Europejskich Krajów Socjalistycznych. Czynnikiem sprzyjającym prowadzeniu badań nad historią ZSRR w Polsce, a nad historią Polski w ZSRR, jest Polsko-Radziecka Komisja Historyczna, której przewodniczy prof. dr Ludwik Bazyłow. Komisja zbiera się przy okazji sesji i sympozjów naukowych i spełnia rolę inspiratora i koordynatora badań, ułatwia wzajemne kontakty i wymiana koniecznych materiałów archiwalnych (fotokopie).

Ważnym czynnikiem sprzyjającym wzajemnym kontaktom historyków zajmujących się w Polsce dziejami ZSRR i problematyką stosunków Polsko-Radzieckich, są sesje naukowe organizowane przez Zakład Historii Stosunków Polsko-Radzieckich PAN. W grudniu 1972 r. odbyła się w Warszawie dwudniowa Ogólnopolska Sesja Naukowa, poświęcona 50-leciu utworzenia ZSRR zorganizowana przez Zakład. Referaty wygłosił specjalista zarówno z ośrodków Akademii Nauk, jak i ośrodków uniwersyteckich (z Uniwersytetu Łódzkiego referat na temat radzieckich planów powszechnego rozbrojenia wygłosił doc. dr W. Michowicz).  
Tematyka radziecka zajmuje

także poważne miejsce w pracach badawczych Wojskowego Instytutu Historycznego oraz Wojskowej Akademii Politycznej im. F. Dzierżyńskiego. Świadczy o tym zarówno publikacje książkowe pracowników tych placówek, jak i rozprawy oraz artykuły publikowane w „Zeszytach Naukowych WAP”. „Wojskowym Przeglądzie Historycznym”, „Studiach i Materiałach do Historii Wojskowości”.

Jeśli chodzi o Zakłady Historii ZSRR na uniwersytetach i wyższych szkołach pedagogicznych, to uderzającą jest nierównomierność w rozmieszczeniu kadr, której nie można tłumaczyć tylko ilością obciążen dydaktycznych. W niektórych przypadkach występuje czynnik hamowania rozwoju młodej kadry i nieprzystosowania etatów, a nawet miały miejsce próby likwidacji odrębnych Zakładów Historii ZSRR poprzez podporządkowanie pracowników specjalizujących się w zakresie dziejów ZSRR Zakładom historii powszechnej. Na szczęście Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego, Nauki i Techniki przeciwstawiło się tym „reformom”.

Wykładowcy historii ZSRR w wyższym szkolnictwie w Polsce otrzymują obecnie ważną pomoc w rozwijaniu i pracy dydaktycznej i badawczej ze strony Uniwersytetu Moskiewskiego. Przekazanie Wydziału Historycznego doc. Siwaczowowi zapewnił zebrały na sympozjum, delegatów z krajów socjalistycznych, że Uniwersytet Moskiewski przyjmie każdą liczbę stażystów, zapewniając im opiekę naukową.

W rezolucji uchwalonej na zakończenie obrad w Moskwie postanowiono traktować seminarium wykładowców jako instytucję stałą, zwoływana co dwa lata. Postanowiono także w ramach umów między uczelniami rozciągnąć wyznaczone wykładowców oraz przystąpić do wspólnego opracowania podręczników uniwersyteckich z historii ZSRR dla krajów socjalistycznych z uwzględnieniem specyfiki rozwoju poszczególnych krajów.

DOC. DR W. BORTNOWSKI



### POLEMIKA Z RECENZENTAMI

Po przeczytaniu w „Odgłosach” artykułu Jadwigi Łużyńskiej-Dorobowej pt. „Jeszcze o krytyce artystycznej”, postanowiłam zabrać głos na temat recenzji z „Traviaty” Jerzego Katarasińskiego i Teresy Wojciechowskiej. Wiem, że nielata to sprawa bronić własnego dzieła, ale doszłam do wniosku, że nie należy pozwalać bezkarnie przekreślać pracy swojej, a także innych twórców tego widowiska i z godnością milieć, gdyż właśnie owo milczenie, absolutny brak dyskusji jest najbardziej niepokojącym objawem w naszej krytyce artystycznej. Recenzja Jerzego Katarasińskiego na pewno oburzyła wielu czytelników — widzów teatralnych, ale nikt głosu na ten temat nie zabrał, gdyż modne jest i o wiele bezpieczniejsze milczenie. Zatem w jaki sposób może bronić się scenograf przed niefachową i częstą tanią — złośliwą (no cóż, jest różnica między złośliwością Boya a Jerzego Katarasińskiego...) krytyką? Oczywiście można odpowiedzieć, że obronił go jego dzieło. Na pewno, jeśli do teatru



WYWIAD

Na złotej okładce czarny nagan i napis: „Zołnierze cichego frontu”.

nie wziął pod uwagę, że o wielu sprawach, które widział, napisano już dziesiątki książek...

W ten sposób pasjonujące dzieło pracownika wywiadu gina w opisach zbędnych spraw, dygresjach historycznych...

I tu warto przypomnieć książkę Inego asa wywiadu radzieckiego, piszącego pod pseudonimem Londsdale.

Winarow stosuje inną stylizację, popada w zbędne omówienia na temat spraw dokładnie już opisanych...

Iwan Winarow „Zołnierze cichego frontu”, Książka i Wiedza, 1972, cena 45 zł.

PORTRET WIELOKROTNY

„Miałem kiedyś przyjaciół...” napisał gorzko Kazimierz Przerwa-Tetmajer. Przewrotność losu uczyniła go poetyckim gwiazdorem...

Przed paru laty piękna, rzetelna książka o Tetmajerze napisała Krystyna Jabłońska. Ostatnio ukazał się tom wspomnień „Miałem kiedyś przyjaciół...”

„Miałem kiedyś przyjaciół” — wspomnienia o Kazimierzu Przerwie-Tetmajerze. Opracowała Krystyna Jabłońska. Wyd. Literackie, 1973, cena 80 zł.

PAPUGA ANTONOWA

Literaturze potrzebny jest dystans. Jeszcze raz tę starą prawdę udowadnia Sergiusz Antonow w powieści „Nie wiercie papudze”.

Nowa rzeczywistość niesie nowe nadzieje, ale także czyni wiele zamytu w zastępy światku miasteczka, w ludzkich umysłach...

Antonow użył tego chwytu nie po to, aby być nowatorem, ale po to, aby móc spojrzeć zupełnie inaczej — ironicznie, pseudonaukowo, ciepło, z humorem — na przemiany rewolucyjne swego kraju.

Sergiusz Antonow „Nie wiercie papudze”, Wyd. PIW, 1972, cena 15 zł.

DAWNI SŁOWIANIE

Od lat cieszy się powodzeniem seria słownikowa „Wiedzy Powszechnej”. Zdarzają się co prawda w niej rzeczy dziwne, ale na paradoksy lekarstwa nie ma.

Ostatnio ukazał się znakomity tom „Słownika kultury dawnych Słowian”. Bardzo pięknie, ale... dlaczego dopiero teraz?

W środku — cała reszta o Słowiańszczyźnie, plus 14 syntetycznych artykułów, dających pogląd na całość problemów dawnej kultury słowiańskiej.

J. WIL

„Mały słownik kultury dawnych Słowian”. Pod redakcją Lecha Lecelejwicza, Wyd. Wiedza Powszechna, 1972, cena 70 zł.



KLEJNOTY Z BENI YENNI

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Tego dnia wybrałam się do miasta wcześniej — właściciele otwierali jeden po drugim swe korzenne sklepiki i zamiatali schody i chodniki ulic przed swymi „boutiques”.

— Podoba się „biżuteria”? — zagadnął uśmiechając się do brodatki. — Ba, pewnie, że się podobają. — spojrzalam nieufnie.

— Mam, drogie. Ale popatrzcież można — dodadam. — Lepiej przyjechać do nas. Tam dopiero skarbowe — ajajaj, całe skrzynie — cmoinal z zachwytem.

Tak więc już w ciągu pierwszych miesięcy mego pobytu w Algierze, dowiedziałam się o ośnieniu Beni Yenni — malej berberyjskiej wiosce, ukrytej w górach Wielkiej Kabylii.

I.

Wysoko na niedostępnych wierzchołkach gór, rozłożyły się wioski. Uceplone szczytów skał niczym ptasie gniazda lśniły w słońcu białą dachówką, pokrywających kamienne domki. Jest ich mnóstwo, prawie wszystkie pagórki wokół nas ośpiane niezliczonymi domkami wioski.

nych w białe gennury. Wiozą na osiach sterty towaru.

Dojeżdżamy do duaru Beni Yenni. Duar, czyli zgromadzenie chat, skupia cztery wioski rozłożone malowniczo wzdłuż grzbietu wzniesienia przed nami wyniosłości „Jubilerska” wioska leży na wysokości 869 metrów i prowadzi do niej wąska „ścieżka mulów”.

Wioska jak ślimak zwinięta w labirynt wąskich uliczek. Kluczemy w kółko między „ślepyimi” domami z kamieni sklejonych gliną i słomą — nigdzie nie widać drzwi ani okien, wszystkie zabudowania stoją tyłem do ulicy, odwrócone w kierunku wewnętrznych podwórz.

— Ja będę guide! Ja pokażę drogę do „biżuterii”! Na chybił trafił wybieramy jednego obdartusa.

— Prowadź, mały, do „biżuterii”!

Przez niewidoczną, ukrytą w murze furtkę, wchodzimy za chłopcem na obszerne podwórze, które przecinamy ukośnie wdrapując się po schodkach na piętro. Weśkamy się do ciasnego, ciemnego pomieszczenia.

Wyciąga z pudła podłużne kopułki. — O, takie właśnie. Będzie bardzo ładna. Nie wąpiłmy wcale. Wybieram perłonek z wielkim jasnym korałem i „reka Fatmy” — to na szczęście, żeby odgonić zło „uroki”.

— Ca va? — pytamy stereotypowym zwrotem. Stuka młotkiem przewieszając srebrny wisior w kształcie latarenki z jednej kółki do innej. — Po co pan to robi? — To na zamówienie, mają dziś po nią przyjechać. Belgowie. Ma być kółka z samych takich wisiorów.

lorowe sople-latarenki i pękate kopułki.

Maly przewodnik czeska cierpliwie za drzwiami. Kiedy wychodzimy, podrywa się i prowadzi do następnego srebrnika — jubilera.

Natchniona wiarą religijną sztuka berberyjska nie pozwała na używanie w rysunkach nie tylko wizerunków ludzi i zwierząt, ale również kwiatów. Posługuje się wyłącznie liniami geometrycznymi, łącząc przeróżne elementy w niezliczoną ilość wzorów.

Wyciąga z pudła podłużne kopułki. — O, takie właśnie. Będzie bardzo ładna. Nie wąpiłmy wcale. Wybieram perłonek z wielkim jasnym korałem i „reka Fatmy” — to na szczęście, żeby odgonić zło „uroki”.

Wędrujemy do trzeciego i czwartego „biżutera”, a potem prosimy naszego „guida”, żeby nas zaprowadził do Ben Ahmeda, którego poznałam w Algierze.

Stary wyłania się z zakamarków swojego domostwa, wita nas jak dobrych znajomych, prowadzi do warsztatu.

— Obejrzelście już wszystko? To teraz u mnie odpoczniecie. A żeby się nie nudziło, przetrzycie sobie trochę tych rzeczy...

I wyciąga dwie ogromne szuflady naladowane aż po brzegi brzęczącymi srebrnymi skarbami. — Proszę się nie przejmować i grzebać do woli. Możecie do wieczora, a i zanocować u mnie można. Dla moich znajomych wszystko stoi otworem.

Zanurzam z rozkoszą ręce w otchłanie szuflad i wyciągam cudneńka. Są to fragmenty, w których można komponować dowolne całości lub traktować jako pojedyncze, drobne ozdoby. Hurtownik, czy jak? Pytamy o ceny. Są zdumiewająco niskie. Oczywiście wszystko na wagę. Sterta wybranych przeze mnie pamiątek rośnie w coraz większą piramidę. Ben Ahmed uśmiecha się ze zrozumieniem. Poznał psychikę kobiet i wie, że posiadził mnie jak do partii pokera, że się stąd szybko nie ruszę.

— Czy wy to wszystko sami produkujecie? — dopytujemy się zainteresowani. — Nie, skąd. To bardzo stara biżuteria berberyjska. Skupują z okolicznych wsi od ludzi, którzy znaleźli się w nędzy. Kobieta, której umarł mąż, zostala sama z dziećmi, nie ma z czego żyć, sprzedaje pamiątki po ojczach, dziadkach. Ludzie bardzo niechętnie wyzbywają się swoich klejnotów — przywiązują się do nich uczuciowo, a także boją się przekleństwa dziadków. Toteż ta stara prawdziwa biżuteria jest coraz mniej, a ta nowo produkowana jest już inna — masowa, lekka, często z imitacji, zresztą widzieliście sami...

Tak, teraz dostrzegamy różnice — niektóre wisioriki są jaśniejsze, lekkie, o spłowiałych kolorach, inną techniką wykonane. To te „nowe”, obliczone na masowego odbiorcę. Te mają szansę zalać Algier. Po te prawdziwe, nasączone tajemnicą pokoleń, trzeba przyjechać aż tu, do serca dzikiej Kabylii.

Zegnamy sympatycznego Ben Ahmeda i odprowadzani przez malego przewodnika schodzimy ścieżką w dół do głównej drogi. Wyjeżdżamy serpentyną po krawędzi skalistego wąwozu. Patrzę z żalem na znikającą za oknami samochodu krainę malowniczych ksarów, czuwających ze szczytów gór nad skalistymi przepaściami. Przedwieczorna mgła ślida wzdłuż zboczy skrywając kolorowe wioski w płaszcz miedznego oparu. Za chwilę będzie się zdawało jakby ich tu nigdy nie było.

EWA BEKIER



(Dalszy ciąg ze str. 1)

2.

Zakłady „Boruta” w Zgierzu są najstarszą i największą wytwórnią barwników w Polsce. Swoją produkcję rozpoczęły już w 1894 roku.

W okresie Pierwszej Wojny Światowej uległy nieomal całkowitemu zniszczeniu, ale w roku 1920 zostały odbudowane i powtórnie uruchomione.

W roku 1930 następuje szybki rozwój Zakładów, z którym wiąże się, rzecz jasna, zwiększona produkcja barwników, jednakże Druga Wojna Światowa znowu doprowadziła „Borutę” do ruiny. Zagrabione przez Niemców Zakłady zostały oddane pod zarządek koncernu I. G. Farbenindustrie, który najpierw wywiózł ze Zgierza wszystkie cenniejsze surowce i urządzenia, a następnie rozpoczął dewastację fabryki.

Toteż po wyzwoleniu, w czterdziestym piątym, znowu trzeba było zaczynać od początku. Odbudowanie i uruchomienie produkcji Zakładów w tych trudnych latach nie przebiegało bez przeszkód, ale dzięki ofiarnej pracy załogi i szczególnie zainteresowaniu Państwa — w szybkim tempie nie tylko osiągnięto, lecz w dużym stopniu przekroczono poziom produkcji przedwo-

jennej. Wystarczy powiedzieć, że w 1957 roku produkcja barwników wzrosła dziesięciokrotnie w porównaniu z produkcją 1938 r., a w 1970 przekroczono ten poziom dwudziestokrotnie.

Obecnie „Boruta” wytwarza blisko 500 marek barwników, przy czym należy podkreślić, że z roku na rok wzrasta produkcja tych szlachetnych, nowoczesnych, jak na przykład helantrenowe, helasolowe, helaktynowe, syntenowe, anilanowe, siarkowe, helasynowe.

Ponieważ przymiotniki te niewiele mówią ludziom spoza branży, zastanówmy się raczej, komu „Boruta” służy. Otóż przemysł włókienniczy otrzymuje ze Zgierza produkty do barwienia i drukowania bawełny, wełny, jedwabiu naturalnego, lnu, konopli, włókien sztucznych, syntetycznych itp. Przemysł skórzany — produkty do barwienia różnego rodzaju skór, a futrzarski do barwienia włosa. Przemysł drzewny barwi dzięki „Borucie” forniry, a poligraficzny wyrabia ze zgierskich produktów atramenty, tusze, kalki, ołówki i farby drukarskie. Przemysł cukrowniczy zawiązuje „Borucie” Hydrosulfit FA stosowany do odbarwienia cukru i syropów, a przemysł spożywczy wszystko, co potrzebne jest do barwienia artykułów żywnościowych.

A teraz połączmy tę listę z innymi, w nieco innej tonacji:

„Boruta” zaliczana jest do grona zakładów szczególnie ważnych dla gospodarki narodowej, choć, z drugiej strony,

ma również potężne osiągnięcia eksportowe, produkując barwniki dla sześćdziesięciu krajów świata.

„Boruta” przypomina wizualnie wielkie budowie przemysłowe Polski Ludowej, jak na przykład Żerzą czy Nowa Huta, choć stare hale i urządzenia zajmują na tej rozległej dwustuhektarowej przestrzeni nie mniej miejsca, niż inwestycje nowe. „Boruta” dysponuje własną boczną koleją, własnym wewnętrznym transportem, własną szkołą zawodową i znakomicie wyposażonym ośrodkiem zdrowia, gdzie pracują lekarze wszelkich specjalności.

„Boruta” doczekała się także własnych domów wypoczynkowych oraz ośrodków kolonijnych, rekreacyjnych i sportowych (Swibno, Cuszyna, Dunińów), co wcale nie oznacza, że łatwo w tych zakładach o wczasach. To samo można powiedzieć o budownictwie mieszkaniowym: będąc udziałowicem Zgierskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, „Boruta” otrzymała w tym roku dwadzieścia mieszkań, podczas gdy chętnych, czekających po pięć lat w kolejce pracowników, jest kilkanaście razy więcej.

Zatrudnia się tu ponad 4.500 osób. Biorąc pod uwagę, że całe miasto liczy czterdzieści parę tysięcy, nie ulega kwestii, że każdy obywatel Zgierza ma z „Borutą” jakieś powiązanie...

**Sport** — wokół Zakładów skupione są najlepsze zespoły i najznakomitsi zawodnicy. Już nie mówię o siatkarskich, koszykarskich i piłkarskich, ale hokeiści naprawdę narobili w tym kraju sporo halasu, jeśli zaś chodzi o wiodącą sekcję zapasniczą, to ma ona w swych szeregach dwukrotnego olimpijczyka, **Lesława Kroppa** oraz reprezentanta Polski na Igrzyskach w Monachium, **Włodzimierza Cieślaka**. Na marginesie warto dodać, że są to autentyczni amatorzy. Tak jest! Pracują!

**Kultura** — nudno i cicho byłoby w Zgierzu bez borutowych klubów i zespołów. Jeden z nich zajął w 1970 r. pierwsze miejsce na ogólnopolskim festiwalu muzyki regionalnej, dzięki czemu został wysłany na tańce i śpiewy do Bułgarii oraz do NRF, gdzie odniósł duże sukcesy w ośrodkach polonijnych.

— Mamy dobrą wyposażoną bibliotekę, w klubie rencistów i emerytów jest telewizor, radio

i inne samograje, na terenie zakładów działa nawet Amatorska Kronika Filmowa, której operatorzy wyświetlają nam co pół roku migawki z życia „Boruty” — powiedział mi **Ryszard Trochlecki**. — Ale tak naprawdę, to nie jest dobrze... Od dawna bijemy się o Zakładowy Dom Kultury. Kolataliśmy w tej sprawie do wszystkich możliwych drzwi: Zarząd Okręgu i Zarząd Główny, Zjednoczenie, Ministerstwo i najwyższe czynniki partyjne. Przyszło nam „rozejrzeć się w tej kwestii”, ale nie dało to, jak dotąd, najmniejszych rezultatów.

Zatem po blaskach — pora na cienie.

Jest piękna i przestronna stołówka, ludziom pracującym na trudnych stanowiskach roznosi się za darmo wysokokaloryczne zupy z tak zwaną wkładką mięsną, średnia płaca w fabryce wynosi 2.798 zł na głowę, a przecież są duże kłopoty z utrzymaniem kadry, z przywiązaniem ludzi do zakładów. W okresie wiosenno-letnim wielu z nich odchodzi do prac sezonowych (chłopo-robotnicy), młodzież emigruje do miast wojewódzkich, szukając tam „ciekawszej” roboty, bądź wyższych zarobków.

Jakie są tego przyczyny? Wypadki przy pracy? Schorzenia zawodowe? Brak perspektyw na awans? Kompleks prowincji?

Przecież „Boruta” jest jednym z największych zakładów przemysłowych w województwie. Przecież **Zgierz** jest w zasadzie dzielnicą Łodzi, do której śródmieścia jedzie się tramwajem lub pociągiem około piętnastu minut. Przecież te wypadki nie są znowu tak nagminne... W ostatnich trzech kwartałach ubiegłego roku było ich sto dwadzieścia sześć (oparzenia i zatrucia), w tym ani jednego śmiertelnego.

— Planu nie zawalamy — mówi **Trochlecki**. — W 1972 roku wykonaliśmy go nawet z niewielką nadwyżką. Ale fluktuacja, która odnosi się szczególnie do młodzieży, jest naszym prawdziwym utrapieniem.

3.

**Ten Bukowiec** już na parę minut przed dwunastą był na stanowisku w roboczym kombinie i ustawił swoich chłopaków. Zresztą — sam jest jeszcze

chłopakiem. Uśmiechnięty, dobrze zbudowany, przystojny, dwudziestosześcioletek, taki, co to jeszcze lubi pokopać piłkę i potańczyć... Do „Boruty” przyszedł wprost po maturze, którą złożył w Technikum Chemicznym im. Jędrzeja Śniadeckiego. Mówi:

— Jak byłem w szkole, to już wiedziałem, czego chcę. Nie musiałem łamać sobie głowy po nocach. A przecież w okresie stażu nie miałem w „Borucie” łatwej pracy.

— Był pan w wojsku?

— Tak. Ledwo się trochę wgrzyłem w robotę, dostałem wcielenie i od sześćdziesiątego siódmego do sześćdziesiątego dziewiątego chodzilem w mundurze.

— A potem?

— Potem znowu „Boruta”. Dokończyłem staż i zacząłem pracować jako „dyplomowany” aparatowy. Jako maturzysta mogłem się starać o robotę w laboratorium, ale na oddziale były lepsze zarobki, więc zdecydowałem się pozostać w ruchu, i teraz jestem z tego zadowolony. Zapoznałem się z tajnikami produkcji zaliczając sprawy słuźarskie i ucząc się zdawania barwników. Jest to praca odpowiedzialna i precyzyjna, ale bardziej fizyczna niż umysłowa, wymagająca zdrowia i kondycji.

— A później został pan majstrem?

— Tak. Awansowałem na majstra części B naszego oddziału.

— Czy stanowisko to zaspokaja już pańskie ambicje?

— Niezupełnie. Chciałbym zostać mistrzem i taki jest górny pułap możliwości nas, techników. Często przecież zostają mistrzami młodzi inżynierowie...

W tym momencie przypomniałem sobie słowa dyrektora naczelnego „Boruty”, **Kazimierza Zająca**: — Z tymi inżynierami to jest nie w porządku. Ale co robić, kiedy technicy, ci po stażu, nie garną się na stanowiska mistrzów. Boją się odpowiedzialności, konieczności samodzielnego myślenia i samodzielnego podejmowania decyzji. Przy tym, jako mistrzowie, nie mają wcale wyższych zarobków

niż podlegający im pracownicy...

A więc **Lech Bukowiec** należy do wyjątków. Nie boi się pracy z ludźmi i nie wysuwa na plan pierwszy spraw materialnych. Czy jest to wynikiem jego naiwności, czy też racjonalnych przemyśleń? Pytam:

— Nie zamierza pan studiować?

— Miałem taki zamiar.

— Gdzie? Na Politechnice?

— Nie. Zawsze myślałem o farmacji. Pasjonuje mnie chemia leków. Na razie jednak nie mam szans na zrealizowanie tych planów, gdyż farmacja nie posiada wydziałów zoocnych i wieczorowych.

— Czy pracują w „Borucie” pańscy koledzy ze szkoły?

— Oczywiście. Kilku z nich dochrapało się już odpowiedzialnych stanowisk.

— A więc nie wszyscy, mam na myśli pańskie pokolenie są minimalistami?

— Trudno mi na to odpowiedzieć. Znam przecież i takich, co odeszli...

— Nie widzieli dla siebie perspektyw?

— Bo ja wiem... Perspektyw można znaleźć wszędzie. A tu, w „Borucie”, na pewno ich nie brak. Jeśli chodzi o mnie, to wielką satysfakcję znajduję w pracy społecznej...

Bukowiec już w Technikum był aktywnym działaczem ZMS. Kiedy przyszedł do „Boruty”, trafił do zarządu tej organizacji, natomiast po odbyciu służby wojskowej, kiedy to organizacja praktycznie nie istniała, był tym, który reaktywował jej działalność. Został przewodniczącym koła i jest nim do dzisiaj; piastując także funkcję drugiego sekretarza Oddziałowej Organizacji Partyjnej.

Czy za tymi zaszczytnymi funkcjami kryje się jakaś zdrowa, konkretna treść?

Jestem sceptykiem, toteż kiedy słyszę, że podczas wyliczki do Zakopanego zetemowicy złożyli kwiaty w Peronowie, nie przeceniam tego pięknego gestu. Wymalowanie w czynie społecz-



**O** bok budowanego przez Szwedów hotelu „Forum”, po drugiej stronie Alei Jerolimskich, na skraju Wschodniej Ściany, tuż za rotundą PKO wznosi się biurowiec, który stanął tu pierwszy i pierwszy był narażony na krytykę. Stal, szkło, aluminium. Latem bywało tu gorąco, zimą po pokojach i korytarzach hulał wiatr. Dziś wszystko się już dotarło. Bezszelustnie suną szwedzkie windy. W holu portier i wielojęzyczny gwar. Mieszczą się tu przedsiębiorstwa handlu zagranicznego, a na parterze Polskie Linie Oceaniczne. W oknach wystawowych PLO leży gruba i zapomniana chyba lina. Dekoracja? Jeśli tak, to fatalna. Symbol? Może, ale czego?

Mnie jednak nie interesują Polskie Linie Oceaniczne. Dewiz nie posiadam. Za ocean nie wybieram się. Przyjechałem do **Przedsiębiorstwa Handlu Zagranicznego „UNIVERSAL”**, aby porozmawiać o handlowych sprawach Polaków z 1973 roku. Aby dowiedzieć się, co nowego znajdziemy w sklepach dzięki inicjatywie i obrotności polskich handlowców.

„Obecny rok — powiedział na Krajowej Naradzie Aktywów premier **Piotr Jaroszewicz** — powinniśmy uczynić okresem powszechnego zainteresowania problematyką handlu zagranicznego, międzynarodowych powiązań ekonomicznych naszego kraju. Wszystkie ogniwa gospodarcze powinny aktywnie szukać sposobów dalszego rozwoju i rosnących efektów wymiany i współpracy międzynarodowej”.

„UNIVERSAL” jest jednym z tych przedsiębiorstw handlu zagranicznego, które dzięki eksportowi towarów powszechnego użytku, a wytworzonych przez przemysł maszynowy, ciężki i po części chemiczny, sprzedawa również do kraju podobne towary produkowane przede wszystkim w krajach socjalistycznych. Handluje również z krajami kapitalistycznymi. Z **HOLANDII** i **BELGII** sprowadza broń myśliwską, z **NORWEGII** — sprzęt rybacki, z **NRF** — sprzęt sportowy i kosmetyki, ze **SZWAJCARII** — zegarki. Handel z krajami kapitalistycznymi rozwija się stop-

niowo, ale systematycznie. Ostatnio przedstawiciele „UNIVERSALU” bawili w **BRAZYLII**, a w „UNIVERSALU” — Włosi.

**DYGRESJA PIERWSZA**. Utańczył się nasz zupełnie niesłuszny pogląd, że niepotrzebnie sprzedawamy niektóre towary z zagranicy, bo posiadamy własne. A poza tym — zajmijmy się przede wszystkim dostawami na rynek krajowy, a potem martwmy się o innych.

Dziś tego poglądu jest niesłuszny? Dlatego, że zasklepienie się w miłym, ale wąskim zaścianku nie sprzyja postępowi. Handel zagraniczny poza tym, że prowadzi do lepszego zaopatrzenia rynku krajowego, bo o bok towarów krajowych pojawiają się też towary zagraniczne, zmusza też do zdrowej konkurencji, do unowocześniania wyrobów, do szukania nowych wzorów.

Produkcja przemysłowa Polski stanowi około 2,1 proc. produkcji światowej, ale w handlu światowym udział nasz wynosi zaledwie 1,1 proc. Dlaczego? A dlatego, że w wielu dziedzinach poziom naszych wyrobów odbiega jeszcze od poziomu światowego. Rozwijając handel — mamy zatem możliwość konfrontowania naszych wyrobów z wyrobami innych krajów. I jest to konfrontacja, która nie uznaje taryf ulgowych, bo nabywcy nie liczą się

z żadnymi względami. Zadzają towary dobrych i tanich, a jeśli ich nie znajdują u nas, to kupią u kogoś innego. Tak więc jeśli chcemy handlować, to musimy produkować dobre, tanie i wysokiej jakości towary. Inaczej skończy się to tylko na dobrych chęciach.

**GŁÓWNYMI** odbiorcami i dostawcami „UNIVERSALU” są: **BULGARIA**, **CSRS**, **JUGOSŁAWIA**, **NRD**, **WĘGRY** i **ZSRR**. W ubiegłym roku „UNIVERSAL” sprzedał towarów za 333 miliony zł dewizowych, a kupił za 441 milionów zł dewizowych. Doskonale zdają sobie sprawę, że te sumy niewiele mówią Czytelnikowi. Dlatego posłużmy się porównaniem.

**PHZ** „UNIVERSAL” sprzedaje i kupuje wyroby powszechnego użytku oraz artykuły niezbędne do ich wytwarzania. W ubiegłym roku przedsiębiorstwo to sprzedało artykuły powszechnego użytku za sumę 250 milionów zł dewizowych, a kupiło za sumę 207 milionów zł dewizowych. Ale w 1966 roku importowano tego typu towary zaledwie za kwotę 71,2 miliona zł dewizowych,

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

KROKODYLA KUP MI LUBY



BENON LIBERSKI — Pejzaż przemysłowy, olej.

nym świetlicy zakładowej też nie zapładnia mojej wyobraźni... Ale historia tej chorej pracownicy, to już coś: Bukowiec i jego sześciu kolegów wytoczyli z siebie trzy litry krwi, dzięki czemu kobieta ta żyje do dzisiaj. Kiedyś, dla poparcia nowego kierownictwa, Bukowiec i jego Brygada przepracowali nadprogramowo całą wolną niedzielę, co przyniosło nadwyżkę produkcyjną wartości 450 tysięcy złotych. Innym razem zetemosewcy i aktywiści partyjni pojechali do Warszawy i każdy z nich przepracował parę godzin, ładując gołymi rękami cegły na budowę Zamku.

— Są rzeczywiście ofiarni — mówi dyrektor Zajac. — Zetemosewski Bank Czynów Społecznych ma na swoim koncie wiele pięknych i pożytecznych akcji, wśród

których nie brak również wielu nadprogramowo przepracowanych godzin produkcyjnych.

No, a co w życiu prywatnym?

— Czekam na mieszkanie — mówi z uśmiechem Bukowiec. — Jak dobrze pójdzie, to dostanę je w siedemdziesiątym czwartym. Na razie gniołę się z żoną i dziesięciomiesięczną córeczką w wynajętym pokoju — bez wody i urządzeń sanitarnych. Jest ciężko. W tej sytuacji żona nie może pracować, a przecież ma maturę i wielkie ambicje... Chce zostać nauczycielką.

— Kłopoty z dzieckiem?  
— No pewnie. Na dochodzącą pomoc domową jeszcze nas nie stać, natomiast

teściowej nie mogę do tej cianoty sięgnąć.

— Ma pan jakieś zainteresowania kulturalne?

— Lubię teatr i operetkę. Wybieramy się czasem do Łodzi. W kinie już dawno nie byłem, ale oglądam telewizję — Łódzkie Wiadomości Dnia, programy rozrywkowe i reportaże społeczne.

— Co pan czyta?

— Jeśli chodzi o książki, to niewiele. Żona pod tym względem ma nade mną dużą przewagę. Ale prenumeruję kilka tygodników: „Kobieta i Życie”, „Przyjaciółkę”, „Nową Wieść”, „Przekrój”, „Odgłosy”. Od dawna rozwiązuję różne konkursy z zakresu wiedzy o Związku Radzieckim, ale jeszcze nigdy nie udało mi się wygrać.

— Co by pan chciał wygrać?  
— Wycieczkę do ZSRR.

Konkretnie — chciałbym polecieć samolotem na Krym. Jest to marzenie mojej młodości...

Powiedziałem:  
— Wierzę, że się spełni. I naprawdę wierzę. Ten Bukowiec, to jednak fajny chłopak. Pomijając opinię, jaką usłyszałem o nim w Łodzi, i pomijając to, co powiedzieli mi o nim jego koledzy i przełożeni z „Boruty” — jest nie tylko świetnym pracownikiem i aktywnym działaczem. Ma w sobie jakiś urok młodości. Wiedząc czego chce, dąży do celu czystą, prostą drogą. Nie sadzi się na wielkiego aparacza. Nikt nie powie o nim: „karłowicz”. Potrafi ofiarnie służyć krajowi. Ale potrafi się także uśmiechać.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

## KONKURS LITERACKI im. Władysława Reymonta REGULAMIN

Z okazji przypadającej w 1974 r. 30 rocznicy powstania Polski Ludowej — Wydział Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi, Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych, Zarząd Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich i Wydawnictwo Łódzkie ogłaszają konkurs otwarty na powieść o tematyce współczesnej, dotyczącej Ziemi Łódzkiej.

Konkurs ten, noszący imię Władysława Reymonta, będzie organizowany i w latach następnych.

Organizatorzy nie określają ścisłych ram tematycznych autorom biorącym udział w konkursie. Prace nadesłane na konkurs mogą dotyczyć różnych dziedzin życia regionu łódzkiego. Chodzi o powieść, która uwzględni złożoną problematykę przemian, zachodzących po II wojnie światowej w Polsce i na Ziemi Łódzkiej: gospodarczych, społecznych, kulturalnych bądź obyczajowych.

Autorzy mogą również uwzględnić w swoich pracach problematykę okresów wcześniejszych, jeśli posłuży ona jako podstawa do budowania obrazu życia współczesnego społeczeństwa.

Objętość prac — minimum 5 arkuszy autorskich, tj. około 120 stron znormalizowanego maszynopisu. Ilość prac nadesłanych przez jednego autora — dowolna, z tym, że każda praca winna być przesłana w oddzielnej kopercie i przesyłce oraz zaopatrzona innym godłem.

Termin nadsyłania prac upływa z dniem 31 marca 1974 r. Decyduje data stempla pocztowego.

Prace dotąd nie publikowane ani we fragmentach, ani w całości — należy nadsyłać na adres: Wydział Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi, ul. Ogrodowa nr 13. Jako nadawcę należy podać Związek Literatów Polskich, Łódź ul. Mickiewicza 8.

Każda z nadesłanych prac winna być opatrzona godłem. Do pracy należy dołączyć kopertę, opatrzoną tym samym godłem. W kopercie (zaklejonej i zalakowanej) należy umieścić kartkę z godłem i tytułem pracy oraz adresem autora.

Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w lipcu 1974 r.

Skład Komisji Konkursowej, w której znajdują się przedstawiciele organizatorów — zostanie ogłoszony na łamach prasy w osobnym komunikacie.

Ustala się następujące nagrody:

I — 30 tys. zł  
dwie drugie po — 20 tys. zł  
dwie trzecie po — 15 tys. zł

oraz trzy wyróżnienia po 5 tys. zł.

Ponadto Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych jako współorganizator Konkursu ufundowała nagrodę specjalną za powieść obrazującą wpływ środowiska pracy na postawę człowieka i jego zaangażowanie w budownictwie socjalistycznym.

Nie stanowi to jednak ograniczenia zakresu i tematyki konkursu określonego niniejszym regulaminem. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo innego podziału nagród. Sąd konkursowy ma także prawo nie przyznać niektórych nagród w ogóle.

Wydawnictwo Łódzkie zastrzega sobie prawo wyboru do druku i pierwszeństwo druku nagrodzonych prac.

w 1970 roku — za 111,8 mln zł. W całej ubiegłej pięcioletniej import tego typu towarów stanowił wartość 435 mln. zł dewizowych. Dopiero rok 1971 przyniósł znaczny wzrost wartości importu, a w ubiegłym roku wartość importu wzrosła w stosunku do wartości z roku 1971 o 31 proc. W roku bieżącym import i eksport mają jeszcze wzrosnąć.

Zdaniem kierownictwa „UNIVERSALU” istnieje możliwość zwiększenia obrotów co najmniej o jedną trzecią, jeśli — oczywiście — przemysł dostarczy atrakcyjnych towarów, takich, na jakie oczekują odbiorcy poza granicami naszego kraju.

DYGRESJA DRUGA. Rozmawialiśmy o możliwości zwiększenia obrotów przedsiębiorstwa, gdy padło stwierdzenie, że nie mamy atrakcyjnych wzorów.

— Jak to? — zapytałem — przecież mamy dobrych, cenionych artystów.

— Właśnie — usłyszałem w odpowiedzi — ale to w niczym nie zmienia sytuacji. Wzory zagraniczne są o wiele bardziej atrakcyjne.

I jako przykład podano suszarki do włosów. Produkowane przez nasz przemysł mają tradycyjną obudowę w buraczkowym kolorze. Próbowano przekonać wytwórcę, że klientom nudzi się już ten kolor, że trzeba szybko przejść na inne, pastelowo, ciekawsze i atrakcyjniejsze. Ale producent uparcie bronił tego, co wytwarza, bo to gwarantuje mu spokój i plany. Ale już niedługo w sklepach powinny pojawić się suszarki z NRD właśnie w takich — jak się domagano — pastelowych kolorach. Będzie to jednak nie tylko konkurencja dla producenta na rynku krajowym, ale i na zagranicznych rynkach również. Kupiec małe do wyboru nasze „buraczkowe

suszarki” i ładniejsze z NRD — kupią te ostatnie. I słusznie.

Dla czegoś plastycy, którzy przecież nie tylko z rąk zawodu mają wycieczki koloru, nie wywierają odpowiedniego nacisku na wytwórcę? Dlaczego nie proponują nowych i atrakcyjnych wzorów?

Odpowiedź jest chyba prosta i — niestety — powszechnie znana. Plastik nie jest członkiem zespołu projektującego. Nie bierze udziału w projektowaniu we właściwym tego procesu momencie. Dziś projekt powinien powstawać w zespole, w skład którego wchodzi: konstruktor, technolog i plastyk. A ich doradca powinien być zarówno ekonomista, socjolog, jak i psycholog.

WSZYSTKO DLA DOMU. WSZYSTKO DLA WYPOCZYNKU. Oto hasła, pod

jakimi prowadził swoją działalność PHZ „UNIVERSAL”. Kupuje i sprzedaje lodówki, odkurzacze, kosmetyki, roboty kuchenne, kuchnie węglowe (głównie dla odbiorcy wiejskiego i z małych miasteczek), bojler do łazienek i kuchni, naczynia kuchenne, zastawę stołową, pralki, młynki do kawy, sprzęt sportowy, wędkarski, myśliwski i campingowy. Zegarki sprowadza się przede wszystkim z ZSRR. Z Egiptu sprowadza się jedynie lodówki. Z Chin — termosy, budziki i zapalniczki. Z Indii — wentylatory, po raz pierwszy w tym roku — urządzenia klimatyzacyjne do mieszkań, naczynia z tworzyw sztucznych, termosy, sprzęt sportowy, na-

czynia kuchenne, nesesery i kosmetyki.

DYGRESJA TRZECIA. W rozmowie zamiast „lodówki” ciągle padało określenie „chłodzarki”. W końcu nie wyrzykałem i zapytałem:

— Dlaczego uparcie kołatacie język polski? Przecież „lodówka” jest pojęciem tradycyjnym, ładnym i powszechnie używanym.

— Bo fachowcy, czyli producenci uparli się poprawiać język polski i używają nazwy „chłodzarka”, choć przyczyna tej zmiany pozostaje nadal nieznaną i niezrozumiałą.

Zgodziłem się z moimi rozmówcami, ale co z tego? „Chłodzarka” dostata się już na tamy prasy i ma wszystkie szanse wyprzeć zasłużoną „lodówkę”. A mnie się szkoda lodówek.

WSZYSTKO DLA DOMU.

— To piękne hasło, bo chcemy mieszkać i żyć wygodnie, dostatnio i nowoczesnie. Tak zwany zmechanizowany sprzęt gospodarstwa domowego ma pomagać w przyrządzaniu posiłków, ułatwiać sprzątanie. Tego sprzętu nie ma jeszcze tyle i takiej jakości, jakbyśmy chcieli i potrzebowali.

WSZYSTKO DLA WYPOCZYNKU — to też piękne i pożyteczne hasło. Już za

kilka lat pojawi się na naszych drogach popularny samochód „Fiat 126 P”. Zbliży się więc szczyt turystyczny. Trzeba się do tego odpowiednio przygotować. Trzeba, aby na rynku było pod dostatkiem sprzętu turystycznego i campingowego. Krajowego i zagranicznego. Dobrej jakości.

Jak dziś nasza rodzima produkcja wygląda w stosunku do tego, co robią inni. Jak wygląda w codziennej konfrontacji producentów z innymi krajami?

— Polskie rowery — mówią handlowcy z „UNIVERSALU” — mają już poziom światowy. Możemy ich sprzedawać praktycznie nieograniczoną ilość, ale musimy też pamiętać o krajowych potrzebach.

— Mamy zupełnie niezłe odkurzacze. Kupują je handlowcy z Francji i Szwajcarii.

— Nasze żelazka idą jak przysłowiowa woda w NRF.

— Małe lodówki absorpcyjne kupują w Anglii i NRF.

— A inne towary? — pytam.

— Z tym jest gorzej — odpowiadają. — Obserwujemy szybki postęp w produkcji sprzętu campingowego i elektrotechnicznego sprzętu gospodarstwa domowego. Wiele ciekawych inicjatyw przejawia „Predom”. Z artykułami sportowymi natomiast jest już zupełnie źle. Wytwórcy zatrzymali się na pewnym poziomie i robią z samozadowoleniem to, co robili przed laty, co osiągnęli. W dodatku robią źle.

Aleksander Fredro kazał Klarze z „Zemsty” zażądać od Papkina krokodyla. Krokodyla kup mi luby — narzekał Papkin na wymagania ówczesnych dziewczyn. Dziś nikt tego nie wymaga.

choć wymagania przeciętnego Polaka rosną powoli, a nieprzerwanie. I jeśli będziemy pracować coraz lepiej i jeśli będziemy zarabiać coraz więcej, to i kupować będziemy coraz więcej i coraz bardziej skomplikowane urządzenia, aby sobie ułatwiać życie, aby lepiej wykorzystywać mający nam rosnać czas wolny. Co zatem robić, aby tym — czekającym nas wymaganiom — móc sprostać?

— Z tym jest gorzej — odpowiadają. — Obserwujemy szybki postęp w produkcji sprzętu campingowego i elektrotechnicznego sprzętu gospodarstwa domowego. Wiele ciekawych inicjatyw przejawia „Predom”. Z artykułami sportowymi natomiast jest już zupełnie źle. Wytwórcy zatrzymali się na pewnym poziomie i robią z samozadowoleniem to, co robili przed laty, co osiągnęli. W dodatku robią źle.

— Mamy zupełnie niezłe odkurzacze. Kupują je handlowcy z Francji i Szwajcarii.

— Nasze żelazka idą jak przysłowiowa woda w NRF.

— Małe lodówki absorpcyjne kupują w Anglii i NRF.

— A inne towary? — pytam.

— Z tym jest gorzej — odpowiadają. — Obserwujemy szybki postęp w produkcji sprzętu campingowego i elektrotechnicznego sprzętu gospodarstwa domowego. Wiele ciekawych inicjatyw przejawia „Predom”. Z artykułami sportowymi natomiast jest już zupełnie źle. Wytwórcy zatrzymali się na pewnym poziomie i robią z samozadowoleniem to, co robili przed laty, co osiągnęli. W dodatku robią źle.

Aleksander Fredro kazał Klarze z „Zemsty” zażądać od Papkina krokodyla. Krokodyla kup mi luby — narzekał Papkin na wymagania ówczesnych dziewczyn. Dziś nikt tego nie wymaga.

DYGRESJA CZWARTA I OSTATNIA. Dawno temu kursowała taka oto anegdota. Do jednego kraju w Afryce wyjechało dwóch handlowców: Polak i Czech.

Czech w pierwszym raporcie doniósł swojej centrali: „Ogromne możliwości sprzedaży butów Stop Wszyscy tu chodzą boso Stop”

A Polak: „Nie ma tu komu sprzedawać butów Stop Wszyscy chodzą boso Stop”

Czy od tej pory nauczyliśmy się handlować?

Kiedy skończyliśmy już oficjalne rozmowy na temat pracy „UNIVERSALU”, pogwarzyliśmy sobie o zwykłych sprawach Polaków. Ot, po prostu pomarzelaliśmy sobie na to, że w sklepach nie można dostać jeszcze tego i owego, że buty robimy niewygodne, że nie ma akurat tego, czego aktualnie szukamy, rozmiarów odzieży takich jak potrzeba i że nie wszędzie jest jednakowo zaopatrzenie sklepów. I zastanowiliśmy się nad tym, jak to jest — wyniki produkcji i obroty przedsiębiorstw handlowych rosną, a tego, czego szukamy i potrzebujemy, ciągle jeszcze mało. I doszliśmy do wniosku: wiele jeszcze trzeba zmienić, aby żyło się nam lepiej. Nie jest to żadne odkrycie. Wiemy o tym wszyscy i to w dodatku od dawna. Ale co z tego? Nie wystarczy wiedzieć, trzeba zmiany wprowadzić w życie. W handlu zagranicznym też. W handlu zagranicznym nie wystarczy tylko usprawnić i unowocześnić metody działania. Aby dobrze handlować, trzeba mieć czym handlować. Aby sprzedawać, trzeba mieć co sprzedawać. A sprzedawać musimy choćby dlatego, aby móc kupować to, czego jeszcze sami nie robimy, albo to, czego jeszcze nie robimy tak dobrze jak inni. Tak więc zainteresowanie postępową produkcją, nową techniką i technologią i lepszą organizacją, wiąże się ściśle z zainteresowaniem handlem zagranicznym. Jedno bez drugiego istnieć nie może.

# NA MOSTKU

To była zwykła dziewczyna. Zwykłość to wcale jednak nie szarość. Szare jest tylko tło, które otacza. Jeśli na tło będziemy tak patrzeć, bo ono też nie jest takie.

Może zejść z cieni wiszących na ścianie, zsunąć się po lichtarzu owalnie, wyjść z naprzeciwka.

Nie ma szarych kolorów. Szare być mogą tylko żrenice, sącające ograniczoną ilość barw, których tak wiele, że aż zbyt wiele.

Zdegradowali je tylko ludzie. Zepchnęli do bram. Ale gdyby tak dobrze rozjeździć się jeszcze?...

Wieczór.

Można tam być tym, kim się nie jest.

Albo być tym, kim jest się naprawdę. Niewidocznym dotąd pod kupioną z masowej produkcji kapotą. Z twarzą dopasowaną, zunifikowaną, zakrzyżaną przez współczesność.

Każdy kimś jest.

Tylko nie ma czasu by być.

• • •

Nagle ją dostrzegł na przystanku.

Jest tylko sylwetką. Cieniem, który się urealni za chwilę, gdy tramwaj nadjedzie. Cień rozproszy się w jego światłach.

Urzekła go jak szczęście znalezione przypadkiem. Właśnie dlatego, że znalezione, że przypadkiem.

Wlepiona w szybę wypatruje niczego z daleka. Za oknem, za nocą jest coś z dzieciństwa, które przeszło gdzieś obok, ledwie dotknięte wzrokiem, odrzucone przez czas.

Pomógł jej wstać, wziął jej dłoń do ręki. I nakrył ją drugą. Żeby nie uleciało z niej ciepło.

— Byliśmy młodzi. Zbyt młodzi i pewnie dlatego nam wtedy nie wyszło.

Podniosła głowę. Spojrzała w czas miniony, którego zabrakło. Który wypadł z kartek. Nie ma już książki z obrazkami. Nigdy nie było.

— Może spróbowałibyśmy raz jeszcze?

Niczego nie próbowała. Dzień toczył się za dniem, w który wsiadła na jakimś przystanku.

— Jesteśmy teraz bogatsi o ileś tam lat, pragnień... To dobrze, że jesteś. Bałem się, że nie istniejesz, że w ogóle cię nie ma. Byłaś tylko sylwetką, nie umiałem narysować ciebie z pamięci...

Wszystko zależy od prędkości, czas maleje do zera. Ty-le jest zresztą wymiarów. Czwartą, o którym przed chwilą, nieskończona ilość tych innych, nieznaną, nierozpoznanych. Można przeskoczyć z jednego na drugi, przesiąść się w biegu na pięty i razem już pobiec po łące, przewrócić się twarzą na trawę, posłuchać jak pachnie zieleni.

— Trzeba być chyba dopiero dorosłym, by umieć się cieszyć jak chłopak. Najbardziej, że nie wiem dlaczego. Łączy i dzieli nas noc, niczego nie wiemy o sobie.

Stary, wygodny fotel, kanapa, sztych wiszący na ścianie — ślad ludzkiej, autentycznej ręki w zunifikowanym świecie przedmiotów i zdarzeń. Wszystko się wszędzie powiela, spada z taśmy, dom nie tylko podobny do drugiego, ale także i ludzie spożywający o tej samej godzinie to samo telewizyjne danie. A tutaj noc, tramwaj dawno odjechał, nie ma wiedzy o sobie...

— Nie trzeba nic wiedzieć — powiedziała cicho do siebie.

— Próż tego, że gdzieś już byliśmy.

— Daleko.

— I coś nam wtedy nie wyszło. Nie pamiętam już co. Ale teraz... gdyby zacząć znów od początku?...

Kolorowe kredki. Nieużywane, bezużyteczne — pisało się tylko piórem, długopisem, żłobiąc w papierze twarde litery.

— Nie będziesz mi już więcej wrzucał koperku do zupy?

— Nigdy.

— Ani obojętnie czytał gazety?

Potrząsnął przecząco głową.

— Ani zasypiał, kiedy pochylił się cicho nad tobą?

Wiosna. W dwóch dopiero wymiarach. Farba świeża, dotknąć nie można, obraz ledwie się trzyma ramy. W ogóle ram jeszcze nie ma.

Można wejść w tę najświeższą farbę. Zanurzyć w niej usta, zapamiętać się w zieleni. Jest punktem wyjścia. Gdzieś musi być przecież początek.

— Przyjdiesz?

— Tak.

W dolinie — wieś z małymi oknami. Śnieg sięga do okien. Do dachu. Ponad dach. Niewiele już miejsce, dokąd można by uciec. Coraz mniej małych okien.

— Gdzie?

— Istnieją barwne obszary. Może to łąka, może jakiś ogród? Trochę to przypomina szum morza, trochę górski krajobraz... Ale my spotkamy się tam, gdzie zwykle. Na mostku.

— Kiedy?

— Jak zawsze. Będę czekała na ciebie. Nie spóźnisz się, prawda? A teraz nie mów już nic. Zamknij na chwilę oczy.

Odeszła w różne ulice. Między dziesiątki bloków. Skryła się za tysiącem drzwi, podobnych do siebie jak wieczór do wieczoru, twarz do twarzy.

• • •

Tylko mostki nie są podobne do siebie. Nie dobrano się jeszcze do mostków. Nie pomyślano o mostkach. Pewnie dlatego, że ludzie nie chodzą na mostki.

Fabryka domów, fabryka ludzi, fabryka marzeń. Tam i z powrotem. Tam i z powrotem...

Oparł się łokciami o poręcz i pochylił się nad wodą. O jakim mostku myślała wtedy?

Lepiej nie wiedzieć. Nie układać niczego po kolei, nie wiązać w całość. Wszystko składa się i tak tylko ze strzępów zdarzeń.

Jak sen. Bez żadnej logicznej motywacji. Bez uzasadnień. Trzeba pozostawić sobie małą lukę wśród rzeczy konkretnych. I miejsce, gdzie wszystko może się jeszcze zdarzyć.

Wiedząc zbyt wiele nie pozostaje już miejsca na odrobinę rzeczy niezwykłych.

# MAŁE MIASTECZKA

Uwaga, podnosi się kurtyna.

przetłumaczona autentycznymi gwiazdami,

wchodzimy przez most do miasteczka.

Ta płytka kotłownia, w której leży moje miasteczko,

znajduje się tak blisko. Jakiego pięćset kilometrów od nas

i przynajmniej lat wstecz. To stąd, licząc od mojego biurka,

tak blisko. Ale jednocześnie i dalej.

jak do obecnie okazuje, niż do Katedry.

(Z POEMATU JANA MUSZYŃSKIEGO „FEST”)

1.

Bursa w jednym z swych

wierszy napisał, że „ma 139

domów małe miasteczko”. A ja

przeciwnie Kocham małe mi-

asteczka. Kiedyś podobala mi

się ta „aroganczka” wsielcza u-

waga tragicznie zmarłego poe-

ty. Teraz już mi się nie po-

dobia. Powiesz, przecież z cie-

bie bracie. Można. Chociaż

by ja wiem. Może Bursa wte-

dy zapalać? a może to

chuligaństwo. Pewnie urzek-

ło. Sam miałem pod czas mło-

dości kurzej głowie nabijać jak

naboi buntowniczymi myśla-

mi. Jedną z nich na przykład

była miśnię proboszcza i nie

wytrzeć sakramentalnego pę-

zdrowienia i tak przy nadar-

zności się okazji uczynił.

Matka powiedziała, że jestem

łot i bezbożnik. A ja do-

szedłem do słusznego wnio-

sku, że proboszcz mnie za-

dzanił. Przesłałem wierzyc

w Bogu. Oczywiście nie mia-

łam racji, był jak jej nie miał

Bursa wydając swą apodyk-

tyczną opinię o małym mi-

asteczku.

2.

Cmentarze małych miaste-

czek to parki trochę dalej.

Ale nie tylko. Grabarz Niedo-

ziela miał na cmentarzu po-

lecko. Siedział na nim ziemni-

ki i porodecy. Był to białe na

narzędziach metrów kwadra-

townych wzniesiony pod przy-

jęcie groby. Na wiosnę kwitły

tu pierzastymi kwiatkami.

Miałem, że przynajmniej do-

zmańm się wapię granatow-

wa wiesz w święta zrywając

łecino do Rosolu. Na tym

cmentarzu rosła też gruska

Przez waliśmy ją, baba! Ba-

ba stała przy kłodzie Pana

Aptekarza. Była taka jak ko-

łoty wiesiołek. A mnie przy-

szło ciotkę z Miroslawie

Grabarz. Nieszcza, piniował

baby jak żenicy. Ale odwró-

cił się tylko na moment. Już

siedzieliśmy w jej rozłożystych

biodrach. Anioły patrzyły na

nas karzącymi oczami, ale

znów nie tak bardzo. A

jeden anioł mój dobry znajo-

my, to tak mi się zdawało

jakby mrugał do mnie okiem,

a raz jak się dobrze w niego

wpatrzyłem, to ujrzałem w

postaci anioła mojego dawno

zmarłego dziadka. Dziadek u-

śmiechał się do mnie, a to

mrugnęcie to było perleto

oko, znaczące, że dziadek

podziela zdania tamtych spio-

dów i jeszcze to życzony

częściej przychodził i szwabli

się na babę. Grabarz Niedo-

ziela oczywiście nas gonil. Sni-

galiśmy między krami jak

wiatr. Za płotem siedzieliśmy

na rowie i chrupaliśmy szys-

te złote gruski.

3.

O moim ojcu ludzie mówili

muzykant, a o Panu Józefie

mówili muzyk. Pan Józef grał

na skrzypcach w Orkiestrze

Wiedejskiej. W niedziele kon-

certował w Parku Zdrojowym

w guszu wybitnej gwiazdami.

Pan Józef siedział w pierw-

szym rzędzie, zaczął przy dy-

rygenckim. Dyrygent przyje-

dzał do naszego miasteczka z

Dużego Wojewódzkiego Mias-

ta. Ubrany był w ciemną lśni-

ącą klapę. Głosem ojciec mie-

niał zabawy ani wesela ubie-

rał się w swój świąteczny

garnitur, brał mnie za rękę i

szliśmy do Zdrojowego Parku.

Ojciec śmiał, mrużył jak

mszy. Nie śmiał jak inni lu-

dzie w lawce. Zauważyłem

także, że gdy Pan Józef po-

ciągał po strunach smyczkiem

niżej poruszał się jakby

czymś w nich skrzywdzi. Wte-

działem, że mój ojciec nie za-

nuł, dlatego że pamięta która

w miastach miał być była mu-

zyka z miast wybitnej gwiaz-

dami, a przecież tak grabie-

ral niewidzialnie struny jakby

znal te muzyki od urodzenia.

Kiedy przychodziliśmy do do-

mu ojciec wzmawiał z kłosa-

mi skrzypce. Stał w oknie i

grał. Mogłoby sobie odpozzać,

bo nie miał wesela ani zaba-

wy, zaś o święcie musiał

wstać do swych kotłów pa-

roch i blań. A on grał. Mu-

zyka snadała na skrzydła go-

lebiom i odlatywała daleko

aż za cmentarz. Pan Józef

jadł w tym czasie kolację. Po

wieczery mył swe drobne

ciało i kładł się w miłą szcze-

linę spokojnego snu.

4.

Teraz mieszkam już w wiel-

kim mieście i jestem w tym

ogromnym brudnym kamieniu

jak szolceczka albo pyłek.

Teraz kiedy mijam na ulicach

łysiacę twarz, nawet tamta

medobra twarz Garbusa jest

piękna. I jego garb którego

ak nienawidziłem wydaje mi

się góra z bajki. Zrobił on

moim rodzicom wiele zł.

Leć, jakie to mizerne ziaren-

ko. Zrozumiała chyba to też

moja matka. Bo gdy Garbusa

zgasł białe boży, poszła na

cmentarz i położyła na jego

grobie wiązankę.

5.

Czas w małym miasteczku

plynie leniwie. Nawet zegary

dla ludzi w małych miaste-

czkach są takakwsze. Zegar mo-

ich rodziców z wyzłębionym

im na słupce różną już

sterdziesięć parę lat omierza

im małżeństwo. Szukałem ta-

kiego zegara i znalazłem go.

Nie wiem czy i dla mojej

żony. Czy w równej

rytm śpiesznie białego sece-

czy zagoli rany zadane mi

przez ludzi. W każdym razie

mam to lekarstwo. Staram się

zrównać rytm sece- z rytmem

dobrego przyjaznego czasu.

6.

Długo naszego miasteczka

nie ma. Pan Leon, Ciotka Pana

Leona jest lekka jakby. Pan

Leon nie był meczyzna, nie

motylem. Lekko, zapiełe na

tezy czerwone szpiczki prawie

nie dotykają chodnika. Niemaz

Pan Leon podjeżdża do koso-

sko przestraszy. Wtedy ten

kosz chwytła się za sece-

ci i mówi: O Boże aleś mnie pan

przestraszył. Albo: Niech pa-

na kule biją. Panie Leonie,

chodzi pan jak duch. Pan

Leon śmieje się wtedy, lecz

też tak jakos dziwnie jakby

w seku jego grdyki siedział

gnomik. Postać Pana Leona

jest niska i czarna jak żebro.

Wypomadowana włosy, biał-

szcza jak błotniki czarnego

mercedesa. Pod wydetami

chrapkami żdźbło i waska.

Dłonie Pana Leona są waskie

jak linal szkolny. Tak to by

było mniej więcej wszystko o

Panu Leonie. Chociaż nie. Dla

połowego obrazu trzeba dodać,

że Pan Leon ma kurza pierś.

Gdyś się rozbiegła wygląda jak

oskubany kurczak albo mała

papierowa łódka.

7.

Mieliśmy tu swoje wykroty

i ścieżki. Bramy opanie jak

bór i wyrazy na płotach, obiad

zardzewiałego żelaznika gdzie

można było znaleźć łaniach



Często zapytują mnie ludzie, jak powstają fraszki? Oczywiście, mogę odpowiedzieć — jak ja je piszę.

Budzą mnie po nocy, nie dają mi spać. O piątej, o czwartej rano, czasem o drugiej w nocy wstaję, otulam się ciepłym szlafrokiem i kładę na czymś światło, notuję wszystko co mi przyjdzie do głowy. Czasami struga fraszek sączy się wolno i opieszale, a czasami syją jak z rogu obfitości, jak lawa z wulkanu. Obok dobrych rodzą się złe — obok dozwolonych niewypały. Jedne są jak pełne orzechy laskowe. Najrozmaitsze. Czasem prawie całą produkcję trzeba wyrzucić, a kiedy co trzecia, co piąta fraszka jest celna.

Pozwólcie, moi mili, że opowiem wam nie o tych fraszkach, które rodzą się przy biurku z zadumy i mozołu, ale o te kilka, które urodziły się sytuacyjnie w danej chwili i które swą błyskawicznością i spontanicznością sprawiły nieraz szczególną przyjemność zarówno tym, dla których je wymyśliłem, jak i mnie samemu.

Pierwsza fraszka, jaką w życiu spłodziłem, była pozbawiona sensu. Wybiegłem, mając lat chyba osiem, na Planty w Krakowie, ponieważ pomnik Jagielly i Jagielly, i na widok zielonej, soczystej trawy, która wyrosła w ciągu jednej, ciepłej nocy, oniemiałem z przejęcia, notując:

Trawka się zieleni  
Dla skubania jeleni...

A pierwsza fraszka, już warta grzechu, już na pewnym poziomie, urodziła się gdy miałem lat 20. Zdecydowałem się skreślić cały poemat oktawą a la Słowacki, a zostawić tylko zakończenie jednej ze zwrotek, które udało mi się jak ślepiej kurze ziarno:

Cóż mi tam boskie najstraszniejsze gniewy,  
Bóg Adamowi raj wziął, nie wziął Ewy...

## Fraszki z rękawa

Pewnego razu pani, z którą byłem w teatrze upuściła torebkę. Skorzystałem z okazji, uklękłem u jej stóp i podnosząc torebkę zaimprovizowałem:

Cheesz mieć męczyznę u swych stóp,  
Zawsze coś a propos — zgubi!

Odtąd ta fraszka służyła mi, wielokrotnie jakaś pani coś zgubiła.

A teraz inny wypadek: Na ulicy Wiejskiej w Warszawie u samego jej wylotu, w czasie gołodzi, pośliznęła się jakaś piękność i byłaby się rozciągnęła jak długi, gdyby nie to, że dałem obrzymiego susa i chwyciłem ją pod łokieć. Wtedy jak błyskawica spadła mi z nieba fraszka:

Kiedy kobieta się chwieje,  
Męczyzna ma nadzieję...

I już, już chciałem jej to powiedzieć, ale nie wiedząc czy trafię na osobę mającą poczucie humoru, zawstydzilem się, zacukałem i dałem sobie spokój.

Na wieczorze w Gliwicach jakaś starsza pani nie do mnie, ale do słuchaczy tak awans ja nie słyszał, rozpoczęła się wyzłazczać:

„Wciąż o kobietach, zawsze o kobietach, tylko o kobietach, dlaczego nigdy o męczyznach?”

Przerwałem czytanie fraszek i po sekundzie zastanowienia odpowiedziałem:

Bo od kobiet na sercu noszę liczne blizny,  
Nie złego nie doznałem nigdy od męczyzny...

Szereg powiedzonek i utaretek z publicznością miałem we Wrocławiu. Może najzabawniejsze w szkole plastycznej. Czytałem tam moje fraszki i to z działu „Różne” — gdy nagle po pewnej fraszce z dużym opóźnieniem, kiedy już sala w ciszy oczekiwała na następną, nagle jedna z dziewcząt zaniósła się śmiechem jak zarzynane prosiątko. Sala zawróciła jej. Oczekując jak się nieco uspokoiła i tonem zabalonego, przemądrzałego belfra (a łatwo mi to przychodzi, bo uczyłem przez dobre kilka lat) wymądrzyłem się:

To są najlepsze żony,  
Co mają zapłon spóźniony...

W Bytomiu, który tak lubię, bo w nim wiele ładnych kobiet i czarująco grzecznych ekspedientek, wstał po moim wieczorze pewien starszy pan. Zapowiedziano mi: Głos ma profesor Król! Wyglądał on wiersz, który schował sobie na pamięć, ale niestety nie mam go pod ręką, w którym zapytał: Niech pan nam wyjaśni, jak pan tworzy te swoje cudowne fraszki, pytam w imieniu swoim, żony i córki. Jak to odpowiedzieć na takie pytanie? Czulem że tonę. I nagle zbawcza myśl, która skrapla się w odpowiedzi:

Choć pański wierszyk mnie rozczuła,  
Ale poddany miłczy wobec Króla...

Wyskandowałem króla i skłoniłem mu się aż do ziemi. Odechnąłem — wyzwoliłem się od krepującej odpowiedzi.

## JAN IZYDOR SZTAUDYNGER

Dwie osoby zaatakowały mnie na wieczorze autorskim w Oświęcimiu. Najpierw wstała pani i zapytała fraszka, nie bez cienia złośliwości:

„Tyle pan pisze o kobietach, ale czy praktyka idzie w parze z teorią, czy pan kocha, czy pan umie kochać kobiety?”

W odpowiedzi szeroko otwarłem ramiona i starając się nadać głosowi memu słowicze tony, odpowiedziałem:

Rzecz zrobiona —  
Niech się pani przekona...

O! zrobilem wstyd niewieście — jak mówi Czeński w „Zemście”. Bo pani zaczerwieniła się, zamachała rękami i z okrzykiem: „Ja jestem za stara, za stara, za stara!” szybko uciekla z sali. Ale co zrobiłbym, gdyby uważała, że jest w sam raz??

Poczem z koleją wstał jakiś pan i zapytał głosem konfiden- cjonalnie ściszym:

„A może teraz poczyta nam pan fraszki polityczne?”

Nie wiedziałem, o co mu chodzi, przecież na wieczorze czytałem szereg fraszek politycznych, ściszyłem więc głos i odpowiedziałem mu równie konfiden- cjonalnie:

Umówmy się jak dobrzy sąsiedzi:  
Ja poczytam — pan posiedzi...

Szczególnie przyjemnie wspominałem dwa spotkania z czytelnikami. W Gdyni, w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki, po moim wieczorze, podeszła do mnie z tomem „Piórek” młodzieżka para. Wytworni, wysoce, oboje urodzili

i sympatyczni. Przynajmniej tak mi się wydali, gdy ich objłem wstążką spojżenia. Poprosili o dedykację. Zapytałem o nazwisko, Mrozowsy. Wpadła mi do głowy fraszka, jak spada szyszka z sosny:

Gdy mróz chodzi po kości,  
To też rodzaj miłości...

I wtedy padli sobie w ramiona, uściskali się i ona wyszep- tała:

„Jacy jesteśmy szczęśliwi, będziemy mieli swoją własną fraszka, swoją własną”.

Byłem wzruszony, że udało mi się zrobić im przyjemność.

Ale większą jeszcze radość miałem w Klubie Oficerskim w Warszawie. Podeszł do mnie pewien młodzieniec, ubrany po cywilnemu i poprosił, abym mu wpisał dedykację na książkę. Zapytałem go o nazwisko. Powiedział, Wpisalem. O imię.

— Tego panu nie powiem, bo mam strasznie brzydkie imię.

— A jakie? —

— Nie, nie powiem! —

— A jednak, może ono nie takie brzydkie? —

— Barnaba! —

Zobaczyłem, że chłopiec ma kompleks swego imienia, więc napisałem mu fraszka o tym imieniu, o smutnym świętym, który ma mało podopiecznych i dlatego sobie tak bardzo cení, gdy ma jakiegos pupila. Młody człowiek ze wzruszeniem dziękował.

— Żeby pan wiedział, ile ja się nadokuczałem moim rodzicom, że mi dali takie imię. Byłem poprostu niegodziwy, a teraz dzięki temu imieniu mam fraszka, mam swoją własną fraszka, dla mnie napisaną, specjalnie dla mnie. Zaraz biegnę im podziękować. Jakże jestem panu wdzięczny! —

— Ja byłem wdzięczny panu Barnabie. Poczułem się w roli dobrej wróżki.

Na zakończenie fraszka, która urodziła się sytuacyjnie. Byłem we Wrocławiu — na ureczym, eteroseobowym kabarecie „Dymek z papierosa”. Potem wspólnie powdrowaliśmy na kolację w Klubie Dziennikarzy. W kabarecie tym występują dwie panie. Jedną z nich napisałem fraszka na bibułce, wtedy druga upomniała się:

„A dla mnie, czy dla mnie nie będzie fraszki?”

Szkoda, że nie możecie jej w tej chwili zobaczyć. Nie tylko miło śpiewa, ale posiada trzy atuty: Młodość, wdzięk niewinny i drażliwy uśmiech. Pomyślałem sobie: O nie, moja pan- no, dostanieś fraszka, ale będzie cię to drogo kosztować: I po chwili namysłu rąbnąłem:

Darmo fraszki rozdają paniom obojętnym,  
Ale ty mi zapłacisz calusem namiętym...

Zapłaciła mi wprawdzie calusem dosyć czułym, ale nie tyle czułym, by musiała protestować obok siedząca żona.

Moim znakomicie poprzednicą i współczesnie żyjącą koleżką fraszkopisarkę wypuszczają fraszki jak osy i cieszą się, gdy która użądli. Ja oczywiście nieraz nie jestem lepszy, ale niektóre z moich fraszek są jak pszczoły — niosą kropelki miodu...

Wybrałem tylko niewielką część fraszek sytuacyjnych, wiele z nich urodziło się i zmarło wraz z chwilą, w której powstały.

## PLASTYKA

## SZCZYPTA SZACUNKU

Łatwo, bardzo łatwo jest wyrządzić krzywdę, prze- kreślić, zdegradować czyjeś ambicje, pragnienia, nadzie- je, sprowadzić do zera dłu- gi, żmudny wysiłek, trud- nielekkiej pracy. Są krzyw- dy fizyczne, materialne i moralne. Te ostatnie należą do najdotkliwszych. Krzyw- dę można wyrządzić umyśl- nie i wtedy stykamy się z draństwem, chamstwem, przestępstwem. Można też wyrządzić ją przez niefras- owliwość, lekkomyślność, brak zastanowienia, ignorancję — to jest „zaledwie” głupota.

Daleki jestem od pra- gnienia, aby twórcy, artyści wszystkich nacji i racji by- li traktowani jak święte krowy. Ale pragnę głęboko, żeby byli traktowani z sza- cunkiem. Twórca, który po- zwala się traktować jak świętą krowę, jest albo kla- sykiem albo hochsztaplerem, a jeśli jest hochsztaplerem to automatycznie nie jest twórcą, co nie oznacza wca- le, że jeśli jest klasykiem to jeszcze jest twórcą. Twór- ca, który pragnie, aby jego pracę i jego samego trak- tować poważnie, daje dowód świadomości swej roli, jaką winien odgrywać w społe- czeństwie i wyraża jedno- cześnie pewne minimum ludzkich przecieć ambicji. Poza tym święte krowy są zawsze na marginesie, choć pozory przemawiają za tym, że są w samym centrum. Twórca, jeśli chce nim być rzeczywiście, musi tkwić w środku spraw ludzkich, choć pozory mogą świadczyć o tym różnie.

Nie przekonuje mnie malarstwo Romy Hałat, wystawiane w Salonie Współczesnym na ul. Piotrkowskiej, ale nie przekonuje mnie również wiele rzeczy, które dzieją się w sztuce współczesnej tak, jak nie porusza mojej wrażli- wości ani „mojego” umysłu wiele z tego, co zostało zro- bione kiedyś. Jest to zrozu- miale, bo człowiek to nie torba na zakupy, do której można włożyć wszystko. Ale Roma Hałat jest malarzka posiadającą spory dorobek artystyczny, jest też malar- ką poważnie traktującą swo- ją pracę. Jej obrazy świad- czą o tym, iż jej droga twórcza została przez nią wybrana świadomie i wy- nika z przemyśleń i war- sztatowych doświadczeń, rozłożonych na przestrzeni wielu lat. Świadomość i konsekwencja realizacji są cechami twórców dojrz- ałych.

Dlatego trudno mi się

zgodzić z formą „recenzji”, jaką zamieścił „Dziennik Łódzki” w numerze 17 ze stycznia br. o wystawie ma- larstwa Romy Hałat. „Dzie- nnik” podał wypowiedzi swo- ich czytelników na temat wystawy, nie dał natomiast żadnej recenzji, żadnej rzetelnej informacji o ekspoz- nowanych obrazach. Rozu- miem, że malarstwo Romy Hałat nie należy do łatwych i może się „szerszej publicz- ności” nie podobać. Ale au- tor pomysłu „Czytelnicy mó- wią” pominął fakt istotny, mianowicie, że ma do czyn- nienia z malarstwem auten- tycznym, z obrazami, które niezależnie od tego, czy się podobają czy nie, znamionu- ją malarza wrażliwego, sprawnie posługującego się warsztatem, szukającego. Tak, szukającego własnej drogi. Mającego własny świat. Patrzącego swoimi oczyma. Daleki jestem od lekceważenia opinii odbior- cy. Wreszcie do niego i tak będzie należało ostatnie sło- wo. Prasa jednak winna popularyzować trudne zja- wiska sztuki aktualnej, no- we tendencje w kulturze. Rzetelnie o nich informo- wać i w miarę możliwości tłumaczyć je, zbliżając tym samym do odbiorcy. Gdyby „Dziennik” zamieścił wypo- wiedzi czytelników obok re- cenzi, byłoby to poważne potraktowanie czyjeś wy- siłku, czyjeś pracy, cudzego trudu. Tak się nie stało. Nie biję tu w żaden wielki dzwon. Ale przecieć wiado- mo, ile wyrzeczeń, ile trudu kosztuje uprawianie sztuki na serio, zorganizo- wanie potem wystawy. A jaka za to satysfakcja, na- groda? Opinia emeryta, wstępującego „po drodze” wszędzie. Opinia uczniów ze szkoły budowlanej, którym nikt — pewnie nigdy — nie mó- wił o sztuce. Studentki, której ani razu nie widziałem, że też by tak potrafili nama- lować...

Doprawdy, nie pragnę, aby twórców traktować jak święte krowy. Ale chciał- bym, aby ich traktować na serio, z szacunkiem, ze zro- zumieniem dla ich wysiłku. A opinii takich czytelników lepiej zasięgać w sprawach pilki nożnej, lub polskiej piosenki. I oni będą mieli więcej do powiedzenia, i my, twórcy, będziemy mieli mniej powodów do nieweso- lych rozmyślań.

ANDRZEJ GRUN

## § OPERA W SĄDZIE

Ten spektakl jest tak kry- minalny, że zostanie wysta- wiony w sądzie, a ja będę recenzentem. Póki co małe streszczenie libretta dla publiczności, która, bywając w Teatrze Wielkim, zauwa- żyła na pewno, że brakowa- ło tam zawsze żarówkę. „Więcej światła” — Goethe.

Otóż w cieniu wielkich gwiazd wielkiego teatru działał na zapleczu mały człowieczek do dużych intere- sów, artysta malwersant, cwaniak, drań, oszust, wy- drwigrosz, no i w ogóle za-

opatrzniowiec. Powinien był dbać o czystość w tej świątyni sztuki, o mydło, o ściertki, szcztolki, o to, żeby żarówka wszędzie się paliła i papier był toaletowy, może niekoniecznie zaraz w kwiatki, lecz na swoim miejscu, no i żeby wszystko grało, nie tylko na scenie, ale i na zapleczu.

Odpowiedzialny ten czło- wiek brał codziennie z kasy teatru 10 lub 20 tysięcy zł na drobne wydatki i szedł po zakupy rzekomo do „El- domu” lub innego PSS.

Faktycznie zaś pedził na Czerwony Rynek, gdzie taki „Kokosał” czy plyn „FF” lub żarówkę firmy „Polam” można kupić o wiele taniej, niż w handlu społecznym. Gość miał głowę do interesów, wiadomo brze- ziński rodak, czasowo w ra- ramach awansu społecznego relegowany stamtąd do Łodzi. Nigdy nie pytał handlujących na Czerwo- nym Rynku obywateli, o pochodzenie towaru, więc uchodził za porządnego człowieka. Tak więc na czarnym rynku Czerwonego Rynku cieszył się uważa- niem jak jaki Forsyte. W rzeczywistości nazywał się Stanisław Kubicki, z zawo- du księgowy, z funkcji, zaopatrzniowiec, a z zamiło- wania przestępca gospodar- czy. Wspólnie z kompanami z pracy niezły grosz przy- właszczał. Inna sprawa, że i święty na jego miejscu by się zdeprawował, gdyby mu codziennie rano wsuwano do rączki 20 patyków i ka- zano iść w Polskę po zaku- py. Ileż to pokus czyha w naszym kraju na zdrowego

męczyznę z forsą, zwiaszc- za cudzą. Zamiast lojalnie zapopatry- wać się w placówkach handlu oficjalnego, kupował u paserów, ale przecieć też artykuły pochodzące z pro- dukcji przemysłu kluczowe- go. O co więc chodzi? O podkładkę, o kwity. To dro- biazg, uczynnych ludzi jest na świecie dużo. Z nich wszystkich najuczynniej- szym dla Stanisława Kubic- kiego był niejaki pan Cze- sio Maślanek, choć i o Fu- niu Uznańskim również nie można złego słowa powie- dzieć. Obaj dżentelmeni jak- o kierownicy sklepów handlu społecznego, pan Cze- sio sklepu PSS nr 767, pan Funio — sklepu „Eldo- mu” nr 1, za odpowiednią prowizją wystawiali dziel- nemu człowiekowi z opery (z zaplecza) odpowiednie rachunki. Rachunki na ma- teriały chemiczne wystawia- ła mu z kolei dama, pani Malgosia Cecilak ze sklepu PSS nr 167.

Do fałszowania rachun- ków zawsze łatwo znaleźć chętnych. Dokładnych infor-

macji na temat podrabiania kwitów może udzielić taki na przykład Jan Antoni Ro- maniszyn, ze spółdzielni „Nowa Droga”. Romaniszyn, jako kierownik administra- cyjno-gospodarczy spółdziel- ni, spełniał podobną funkcję co Kubicki, w podobny spo- sób również prowadził ma- chinację, z tym, że zamiast brać rachunki ze sklepu PSS nr 767 czy 167, pobierał je z kiosku „Ruchu”, w któ- rym pracowała jego mał- żonka. Cygani zatrudnieni w tej spółdzielni bielili kot- ły, a nasz rodak ich ocyga- niał. Ale od czasu, jak usły- szałem, że w Bukareszcie pewna Polka okpiła rumuń- ską Cyganek, nie mnie już nie zdziwi.

Pragnę zauważyć, że Ku- bicki po trzech latach owoc- nej działalności w podzie- miu gospodarczym tak się rozbestwił, że przynosił do teatru fikcyjne rachunki ze sklepu, którego już w ogóle nie było. Widocznie z rozpę- du to czynił. Chodzi tu bo- wiem, oczywiście, o sklep nr 767, który został calko- wicie zlikwidowany w mar-

cu 1970 roku, a Kubicki aż do końca listopada przyno- sił stamtąd uwierzytelnione rachunki. I ta sztuczka nie obyła się bez współdziałania pana Czesia Maślanek, wiernego i wytrwałego w przestępstwie partnera. Zresztą łatwiej przecieć zlikwidować sklep niż blan- kiety rachunków. Przejorny Maślanek zwał parę kwitów na pożeganie z PSS-em. Bądź co bądź otrzymywał od Kubickiego 25 proc. prowizji od wiel- kości sumy wpisanej do ra- chunku.

Ale przecieć pewnego pięknego poranka wszystko się skończyło. Na podstawie fałszywych rachunków pro- kuratura sporządziła cał- kiem oryginalny akt oskar- żenia. Nie wątpię, że wyrok sądu również będzie nie podrobiony. Jakże blisko jest z Teatru Wielkiego do Sądu Powiatowego.

KAROL BADZIAK



FILM

# „JOHN i MARY“

niach, są potrzebne tylko na tyle, by osadzić ich w określonym czasie i środowisku, by nieco anegdotycznie, a na prawdę liczy się to, co między nimi się rozegra i co w nich samych jest ważne. Poznali się w nocnym barze, spędzają noc i rano, nie do niczego ich nie zobowiązuje. Nie mogą się jednak rozstać i dzień, który jest przed nimi, będzie właściwie czekaniem na miłość i trojeniem jej zapowiedzi i szansy. Gdy Mary i Johna zastaliśmy wieczorem w tym samym pokoju, będą u progu tej szansy stali.

Dziwny jest ten film o miłości — właściwie bez miłości, bo to przecież film o jej poszukiwaniu, o marzeniu o niej. „Johna i Mary“ można traktować jako studium psychologiczno-obyczajowe pewnego pokolenia, a jest to, w moim osobistym przekonaniu, opowieść wbrew wszystkim jej komediowym urokom, bardzo smutna. Gdzie szukać zatem tego smutku, może to zresztą smutek zupełnie nieuzasadniony. Ale poznajemy przecież dwoje młodych, uroczych ludzi, którym aktorzy Mia Farrow i Dustin Hoffman przydają cechy fizycznej i charakterologicznej spontaniczności i naraz ci młodzi wydają się bardzo starzy. Cóż mają za sobą za bogactwo przeżyć, doświadczeń, rozczarowań, by stanąć na przeciw siebie z takim bagażem nieufności? On — niefortunny, choć uroczą przysługę z ekscentryczną modelką, ona — bezkonfliktowy romans z znanym panem, ostrożnym politykiem, oboje — ciekawe i chyba satysfakcjonujące ich prace, skąd zatem to wesołe wątpliwości, wzajemne małe oszustwa, strach? Wszystko to w filmie tym bardzo zabawne i w dodatku dobrze się kojarzy. Ale przecież to wszystko coś znaczy, a więc co? Chłód i ustawiczna gra — to sposób bycia, ucieczka przed wszelkimi komplikacjami i ryzykiem — to żywotny program. Nie gorszy nas przecież swoboda, lekkość traktowania przypadkowych spotkań, młodzi wywołani i zdrowi psychicznie, pozornie spontanicznie gdzieś tam są okaleczeni — pozbawieni spontaniczności uczucia, przystosowujący się od razu, z góry do pewnej potocznej, obiegowej świadomości życia.

EWA NURCZYŃSKA

Fot. L. Janczak



# „KRZAK GOREJĄCY“

„WCALE BYM SIĘ NIE ZDZIWIŁ, GDYBY SIĘ KUTZ „KRZAKIEM GOREJĄCYM“ JAKO TEMATEM SZCZERZE ZAINTERESOWAŁ” — napisał przed paroma miesiącami Wojciech Zukrowski. I — jak wiecie niesie — tak się stało. Autor tej powieści o dramatach polskiego losu, Jan Pierzchała, nie jest pisarzem zbyt szeroko znanym. Nagradzano go, co prawda, nieraz — najczęściej jednak za książki bardziej pasujące do regulaminowych ram niż za książki impresyjne, pogmatwane, lecz plonące żywym blaskiem, jak ów tytułowy „Krzak gorejący“.

Książka Pierzchały wyraża z trudnych dramatów ludzi śląskiego pogranicza. Jeden brat bywał tam Niemcem — drugi Polakiem. Jeden konał w Buchenwaldzie, drugi nosił mundur hitlerowskiej Kriegsmarine... Kryteria wyboru bywały często nieuchwytnie, same decyzje przechodziły nieraz przypadkowo, bez racjonalnych rozmowań... Tak jak najczęściej bywa w życiu. Losy Rafała Nazemieca są takie właśnie. Kieruje nimi przypadek, świadomy wybór, strumień okoliczności i wypadków... Po prostu życie. Pierzchała wpisuje losy swego bohatera w określony czas, sytuację go w określonej przestrzeni — wyposaża go w ludzką czułość i świadomość. Nie buduje jednak Pierzchała

swego bohatera z tez i postulatów, nie każe mu żyć na miarę — jak pisze Zukrowski — „broszurkowego pitolecia“.

W ten sposób Rafał Nazemieć żyje na kartach tej powieści życiem autentycznym, daje się ponieść nurtowi wypadków, modeluje ten swój życiorys na miarę własnych odczuć i własnego rozumienia (czy nierozumienia) spraw dziejących się w nim i wokół niego.

Jest to największy walor tej książki: żywy, prawdziwy bohater, uwikłany w jakże typowe, jakże polskie losy. Ta książka prawdziwa, nie pisana na użytek „etapowych” tez — jest książką polityczną w najlepszym tego słowa znaczeniu. Być może nie zdobyła nagrody jak „Dzień z nocą...”, jest zbyt gorzka, zbyt smutna, pełna zbyt bolesnych refleksji.

Najbardziej mnie w tej książce ujmują właśnie ów los zagubionego w chaosie

Dramat z repertuaru współczesnej klasyki. „Miłość i gniew” John Osborne napisał mając dwadzieścia kilka lat. Miał jednak już za sobą niebagatelne doświadczenia: był dziennikarzem, aktorem, otarł się o kilka innych dość niezwykłych profesji. Był jednocześnie na tyle młodym człowiekiem, że mógł jeszcze tak bezkompromisowo i odważną sztukę napisać. Otworzył nowy rozdział w angielskiej dramaturgii.

# TV

# „MIŁOŚĆ I GNIEW“

Jak po siedemnastu latach od prapremiery w londyńskim Royal Court odczytujemy sztukę lidera angielskich „młodych gniewnych”? Czy przeżyła, czy była tylko gwiazdą kilku sezonów? Pytanie jest retoryczne. Czas sztuce nie zaszkodził, wprost przeciwnie. To, co może pod koniec lat pięćdziesiątych znajdowało zbyt natrętnie punkty odniesienia do ówczesnej rzeczywistości, nie ma większego znaczenia. Realistyczna, czy wprost naturalistyczna warstwa utworu zwierzała, ustąpiła pierwszeństwa autentycznemu dramatowi ludzi żyjących w kleszczach starego, zdehumanizowanego systemu.

Nie gdzie indziej, a właśnie w Anglii, gdzie w stanie prawie nienaruszonym zachowały się stare struktury społeczne, pojawiła się cała generacja zbuntowanych intelektualistów, skłóconych z życiem nonkonformistów, którzy wyrażali swój protest i sprzeciw zastanym układem, lecz jednocześnie nie sformulowali dla tej sytuacji alternatywy, programu politywnego. Tak jest u Audena, Sillitoe'a, nie inaczej u Osborne'a. Jego bunt nie rodzi nowych wartości, sprzeciw jest tylko gestem, który o niczym nie przesądza. „Być wolnym, to znaczy być silnym” — stwierdza, co sugeruje raczej znalezienie swego miejsca, tylko nie u podstawy, a bliżej szczytu istniejącej piramidy społecznej.

Jest to słabość sztuki, zarzut, który można postawić całej generacji „gniewnych”. Lecz zarzut tylko z określonego punktu widzenia — naszego. W warunkach burżuazyjnego świata trzeba wartość tej negacji i krytycyzmu ocenić wysoko. Kwitowanie takiej postawy epitetem w rodzaju „niedzielni rewolucjonści” (słyszeliśmy to podczas wprowadzenia do spektaklu) powoduje tylko dezorientację. Patrząc z dowolnych punktów odniesienia, bez uwzględnienia czasu i miejsca, dochodzi się do wniosków absurdalnych. To tak, jakby postawić Osborne'owi zarzut, że nie jest świadomym rewolucjonistą o marksistowskim światopoglądzie.

To prawda, ale co z tego? „Miłość i gniew” to przykład indywidualistycznego spojrzenia na współczesne autorytety społeczeństwa przez pryzmat rodziny, najmniejszej komórki społecznej, poddanej bezlitosnej wiwisekcji. Ponury pensjonat, młode małżeństwo, ich przyjaciel, przyjaciółka, przez chwilę ojciec. Jest to dom, do którego tylko można wejść, każda zaś próba wyjścia skazana jest na niepowodzenie. Doświadcza tego Alison, pozostali mają świadomość absurdalności takiego kroku. Bo świat wokół jest tak urządzony, że nie ma w nim miejsca dla ludzi pokroju Jimmy'ego Portera, czy jego przyjaciela Cliffa. Świat, w którym „niewłaściwi ludzie są głodni, niekochani, umierają”. Świat, w którym jedni boleją, że się wszystko zmieniło, drudzy, że nie się nie zmienia — i ci mają rację. Pozostaje więc cierpienie, rozpacz, bunt, który nie nie wyzwala oprócz odkrywania własnej słabości i zagubienia.

Jest to więc sztuka o gniewie bezradnym, miłości skazanej na brutalną zagładę, jest to dramat trwania pozbawionego sensu, między domem, który nawet w zaciśniętych czterech ścianach nie jest azylem, a kioskiem ze słodyczami, który stanowi namiastkę działania i jest kruchą podstawą prawie fikcyjnej egzystencji. W takiej atmosferze rodzą się upiory, „własna, prywatna moralność”, przekonanie, że człowiek urodził się nie w tej epoce, w której chciałby żyć. Epoca, którą można tylko nienawidzić.

W tym opisanu jest wielka siła i wartość sztuki Osborne'a. Jej głębszy sens wydobły został przez reżysera i aktorów w sposób więcej niż przekonujący. Mielimy odczucie obcowania z wielką dramaturgią i — doskonałą robotą inscenizacyjną.

Sztuka jest zbudowana z przejrzystą logiką. Jej siła jest konsekwencją wzajemnych warunkowań warstwy psychologicznej i nadrzędnej idei buntu. W ten sposób powstało dzieło żywe, krwiste, prawdziwe, mimo że pokazuje przykłady niemożliwe. Napisane ze szczerą, która początkowo szokuje, ale później skłania do aprobaty. I dlatego możemy darować autorowi banalne

scenki z wiewiórką i niedźwiedziem, bo przekonuje nas wcześniej, że „nie można wpaść w miłość, by nie pobrudzić sobie rąk”. I jest to prawda.



Reżyser Zygmunta Huebner wszystko to doskonale zrozumiał i potrafił umiejętnie przekazać widzowi. To dużej klasy osiągnięcie reżyserskie. Sukces odniósł również Roman Wilhelm. Był czuły i skrajnie cyniczny, bezwzględny i słaby, nie pozbawiony ludzkich odruchów. Właściwego partnera znalazł w Wojciechu Pszonliaku. Cliff, ten dziwny przyjaciel, który wszystko rozumie i o nic się nie obraża, jest „ziemią niezycją” w tym nieustannym, samouderzającym zmaganiu, jakim jest miłość Alison i Jima. Kobięce role były zagrane poprawnie. Pola Raksa była urodziwa i krucha, słaba, ale potrafiąca się zdobyć na decyzję, jak i przyznanie do klęski. (Te partie zagrała najlepiej). Tadeusz Białoszczyński był takim starym angielskim putkownikiem, jakiego sobie wyobrażamy. Mógł nawet wzbudzić sympatię swoim wyznaniem winy (?), pomyłki (?), późniejszą oceną świata, który zaczął ginąć, kiedy zgłosił się do Indii.

JAROSŁAW TARNO



# KSIAŻKA

Kazimierz Kutza, który tak dobrze czuje ów klimat pogranicza, może z „Krzaku gorejącego” zrobić pełną smutku, goryczy, ale i nadziei — balladę o człowieku uwikłanym w Historię, człowieka, który przeżył więcej niż przeżyć można.

JERZY WILMAŃSKI

Jan Pierzchała „KRZAK GOREJĄCY”, Wyd. Śląsk 1972, cena 22 zł.

## NIE TYLKO NARKOMANIA I WOLNA MIŁOŚĆ

Gry hazardowe w USA są taką samą galęzią ekonomiczną, jak na przykład przemysł samochodowy, wydobywanie ropy czy budownictwo. I nie dziwnego, bowiem coraz więcej przedsiębiorców i polityków uważa biznes gier hazardowych za worek pełen złota, z którego można czerpać w nieskończoność.

Tylko w 1971 roku torzy wycieczek konnych w 28 stanach, na których zezwolono na totalizatory, przyniosły około sześciu miliardów dolarów zysku. Blisko 500 milionów dolarów wpłynęło z samych podatków od biletów wstępu na torzy wycieczkowe, z aukcji koni i innych operacji tego rodzaju. W stanie Nevada, jedynym, w którym istnieją legalne kasyna gier hazardowych, wpływy podatkowe od dochodów z gier wyniosły 41 milionów dolarów, co stanowi 40 procent budżetu stanu.

Jednakże z danych statystycznych wynika, iż dochody z legalnego totalizatora można porównać do drobnej części góry lodowej, znajdującej się na powierzchni morza. Ekspertzy ustalili, że na każdy dolar legalnie postawionych zakładów przypada od 5 do 7 dolarów nielegalnych. Roczny obrót podziemnego totalizatora osiąga ponad 40 miliardów dolarów! Według najskromniejszych nawet obliczeń, dokonanych w 1966 roku na zlecenie urzędu do walki z przestępczością zorganizowaną, obrót pieniężny z nielegalnych stawek na wycieczkach konnych wynosił podówczas ponad 20 miliardów dolarów. Miliardy te przechodzą przez ręce bookmakerów, otrzymujących procent od każdego dolara i także ich dochody sięgają ogromnych sum. Nawet po odliczeniu „rozchodów” w

wysokości około 2 miliardów dolarów na lapówki dla urzędników państwowych, „przemysł” bookmakerski odkłada do kieszeni około 7 miliardów rocznie.

Wpływy te są głównym źródłem dochodów podziemnego biznesu amerykańskiego. Pewna część pieniędzy rozplywa się wśród tysięcy małych plotek, do których należy prowadzenie rozmów telefonicznych, przyjmowanie i zapisywanie stawek, obliczanie procentów itp. Jednakże lwia część dochodów trafia do rąk mafijnej góry.

Przekupić policjanta może nawet drobny bookmaker, ale przekupić odpowiednią liczbę sędziów, polityków i stróżów prawa po to, by ten hazardowy i lukratywny biznes rozkwitał w skali całego kraju może tylko mafia. Jeśli chodzi o własne bezpieczeństwo, to świat przestępczy funkcjonuje niemal bez ryzyka. Ma ogromne możliwości przenikania do organów, powołanych do ochrony prawa i porządku publicznego a jednocześnie otrzymuje informacje o zamierzonych akcjach policyjnych.

W zamian za usługi świadczone drobnym rybakom, przywódcy mafii zdobywają ogromne kapitały, które lokują następnie w innych „przedsięwzięciach”, poczynając od lichwy i handlu narkotykami, a na „legalnym” transporcie towarowym kończąc.

Niedawno, niektórzy politycy i ekonomiści doszli do wniosku, że władze stanowe powinny brać udział w podziale tych bogactw. I oto biznes gier hazardowych z każdym dniem przyspiesza kroku. Już dwa stany na wschodzie USA poszły za przykładem Nowego Jorku i zezwoliły na robienie zakładów również poza obrębem torów wycieczkowych.

Na tle wzrostu alkoholizmu, narkomanii i „wolnej miłości”, legalizacja gier hazardowych nie wydaje się czymś szokującym i jest rozumiana, jako integralna część współczesnego obrazu życia w Stanach Zjednoczonych. Wśród amerykańskich prawodawców dojrzała pogląd, że jeśli nie są oni w stanie przeszkodzić temu

gwałtownemu pędowi do gier hazardowych, to w ostateczności trzeba spróbować, czy nie udałoby się urwać temu „przemysłowi” części jego wielkich dochodów.

## CO NOWEGO U SĄSIADA?

Co właściwie wiemy o Księżycu? Okazuje się, że jeszcze wciąż niewiele. Uczni nie są na razie zgodni co do tego, jak ukształtował się Księżyc. Według jednej teorii, która dziś nie cieszy się już takim uznaniem, jak kiedyś, Księżyc oderwał się od Ziemi. Nadal jest popularna hipoteza, wedle której Srebrny Glob, gdy jeszcze miliardy lat temu krążył w kosmosie, trafił pewnego dnia w sferę przyciągania ziemskiego i stał się naturalnym satelitą Ziemi. Zgodnie z jeszcze inną hipotezą, Księżyc powstał w wyniku zagażczenia ogromnego pola cząsteczek kosmicznych i gigantycznego obłoku pyłu.

Loty statków kosmicznych na to bliskie ciało niebieskie umożliwiły uczonym ustalenie jednorodnych poglądów na szereg skomplikowanych zagadnień. W szczególności umocniło się przekonanie, że na Księżycu nie ma i, najprawdopodobniej, nigdy nie było życia. Nie ma tam też zapewne wody. Obecnie uczeni uważają, że chemiczny skład próbek skał księżycowych wskazuje, iż ochładzały się one w atmosferze pozbawionej wody. Pozostaje jeszcze problem: w jaki sposób na niektórych próbkach pojawiła się rdza? Czy powstała ona w konsekwencji „zarażenia”, czy też dowodzi istnienia na Księżycu jakiegoś nie odkrytego dotąd źródła wody?

Rozwój tego satelity Ziemi zatrzymał się na „prymitywnym” poziomie, ale uczeni nie wiedzą dlaczego. Większość zgodna jest co do tego, że geologiczna aktywność na tej planecie ustalała około trzy miliardy lat temu, więc w czasie, gdy Księżyc i Ziemia znajdowały się, mniej więcej, w takim samym stanie.

Księżyc ma prawdopodobnie skorupę i płaszcz, podobnie jak Ziemia, a także, na głębokości około 600 kilometrów pod powierzchnią skorupy rozciąga się strefa, która wywołuje niewielkie „trzęsienia ziemi”. Uczni mniemają, iż są one związane z przyplwowymi efektami, które powoduje obrót Księżycyca wokół Ziemi.

Specjaliści nie mają jeszcze pewności, jak jest zbudowane jądro Księżycyca. Nie wiadomo, czy znajduje się ono w stanie płynnym, czy też stałym?

Na Księżycu odkryto zaledwie trzy zasadnicze rodzaje skał, a grunt księżycowy wywołuje wśród uczonych zdumienie. Płyn biologiczny gruntu księżycowego posiada bowiem właściwości antyseptyczne i wegetują w nim tylko prymitywne formy roślinności, takie, jak paprocie. Dlaczego? Na to pytanie specjaliści nie znajdują odpowiedzi.

Jak wykazały badania ostatnich lat, prowadzone przez uczonych amerykańskich i radzieckich, księżycowe morza składają się głównie z drobno- i gruboziarnistego, pulchnego gruntu księżycowego, tak zwane regolity. Jest to mieszanina drobnego kruszywa bazaltowego, składającego się z „spieczonych” drobin. Regolit jest pierwotną skałą, która, najwidoczniej, po ukształtowaniu się Księżycyca nie wytrzymała zachodzących tam przemian. Podczas badań próbek regolitu wykryto rzecz bardzo interesującą z naszego ziemskiego

punktu widzenia: przewodnictwo cieplne regolitu jest słabsze, niż jakiegokolwiek izolatora ciepła znanego na Ziemi.

Uczni mają dziś wiele materiału badawczego wprost z Księżycyca męejmy zatem nadzieje, że niebawem dowiemy się znów czegoś interesującego o naszym najbliższym sąsiedzie w Kosmosie.

## „RECEPTA” NA „LIFE’A”

Wiele lez wylano w „Time-Life Incorporated”, kiedy prezes tego giganta wydawniczego nieoczekiwanie poinformował o likwidacji magazynu „Life” z dniem 29 grudnia ub. roku. W sali, w której zebrano się ponad 300 pracowników redakcji, rozlegały się najpierw westchnienia, a później szloch.

Słuchy o nieuniknionej śmierci tygodnika chodziły w świecie dziennikarskim już od dawna. Większość pracowników pisma sądziła jednak, że utrzyma się ono dłużej, ale wymowa cyfr była nieublagana. W ciągu ostatnich czterech lat „Life” przyniósł deficyt w wysokości 30 milionów dolarów. Wprawdzie deficyt zmniejszył się nieznacznie w latach 1971-72, ale eksperci kompanii w prognozach ekonomicznych na najbliższe dwa lata przewidzieli dalszy deficyt, także w granicach ok. 30 milionów dolarów.

Wielu poważnych kontrahentów ogłoszeniowych odmówiło odnowienia kontraktów na rok 1973. Był to dotkliwy cios. Drugie uderzenie — to zwykła taryfa pocztowej o 170 procent na przestrzeni najbliższych pięciu lat, co ze względu na dużą objętość tygodnika postawiło pismo w sytuacji o wiele trudniejszej, niż inne periodyki amerykańskie. Także rozwój telewizji przy-

czynił się do stopniowego spadku poczytności „Life’a”. Do momentu pojawienia się szklanego ekranu, ten bogato ilustrowany magazyn był oknem na świat dla milionów Amerykanów. „Life” stworzył specyficzną formę reportażu fotograficznego i wyniósł na dziennikarski olimp nie mało talentowanych i energicznych fotoreporterów. Na jego łamach publikowali swe prace literackie najznakomitsi amerykańscy pisarze od Hemingway’a do Normana Millera, magazyn był niejako witryną własnego panteonu: „Time Incorporated”. Kolumny pisma roily się od nazwisk znakomych dziennikarzy, tutaj zamieszczali swe wspomnienia — Eisenhower, Churchill i de Gaulle. „Life” laskotał nerwy i poucał, a następnie zszedł z tego świata, konając bardzo wolno, jak dinozaur, który padł ofiarą przemian, zachodzących w otaczającym go świecie.

Nie pomogli żadne próby ratowania pisma. Zmniejszono wydania zagraniczne, okrojono nakład z 8 i pół miliona egzemplarzy do 5 i pół miliona, liczbę pracowników redakcji i budżet zredukowano o 40 procent. Magazyn zmienił nawet profil, zamieszczając więcej tekstu, a mniej zdjęć. W rezultacie pojawiły się sensacje. Mimo to tygodniowy dochód nieustannie malał. Spróbowano więc powrócić do poprzedniej formy. Wszystkie napróżno.

Jeden z nieprzejednanych krytyków „Life’a” tak scharakteryzował „receptę”, według której magazyn „pi-trasil strawę dla głów” milionów Amerykanów: „Bierze się w równych częściach — martwego Chłirczyka, skopanego Murzyna i dodaje się obrazek z operacji ślepej kieszki i szybko ściąga-nej sukienki”...

Oprac. J. CZECH

# „DZIEŃ DOBRY, MISTRZU COURBET!”

Gdy wystawił na Salonie w Paryżu w roku 1851 swych „Kamieniarzy” i „Pogrzeb w Ornans” okrzyczano go, że jest trywialny, pospolity, prostactki i bezbożny. W czasach, kiedy królowała malarstwo klasycyzujące Ingres’a i romantyka Delacroix — to co pokazywał Gustaw Courbet wydawało się niemalarskie, mało wzniosłe, niegodne sztuki. A on przywódcą malarzy realistów malował po prostu to, co widział. „Maluje, to co widzi” — stwierdzał. A patrzeć umiał.

Urodził się w południowo-zachodniej Francji w 1819 roku w Ornans w rodzinie zamożnego wieśniaka. Ojciec pragnął dla niego kariery prawniczej, ale Gustaw Courbet urodził się malarzem i to jedynie malarstwo interesowało go przez całe życie. Mając lat dwadzieścia trzy przybywa do Paryża. Odwiedza galerie sztuki i wystawy obrazów. Maluje. Dużo maluje.

Towarzystwo, świetny kom-

pan kawiarnianych spotkań, wesoly smukły i o interesującej twarzy, wybuchający głośnym śmiechem, prostolinijny w postępowaniu, zdobywa szybko przyjaciół. Przez pewien czas mieszka razem z Baudelaire’em. Zwykle gdy Courbet maluje, Baudelaire pisze wiersze. Przyjaźnią się. Malarz tworzy jego portret. Wieczorem piją razem piwo przyniesione z najbliższej knajpy. Ale Baudelaire nie jest w pełni zadowolony ze swego współlokatora. Nie podoba się poecie, że artysta ma zamiłowanie do malowania scen wiejskich. Baudelaire’owi wydaje się to zbyt pospolite. No i to wieczne przeglądanie się Courbeta w lustrze... Courbet nie pochwała zaś autora „Kwiatów zła” za jego ustawiczne oszalamianie się opium. A pisanie wierszy?... „Pisań wiersze — to nieuczciwie” — powie Courbet i doda: „Mówię inaczej niż wszyscy — to pozować na artystokratę”. Narzeka też, że trudno mu malować portrety, Baudelaire ma co dzień inną twarz. Przyjaźń tych dwojga nie potrwa też długo. Uporczywa praca przy nie-

wątpliwie ogromnym talentem, niezrażanie się trudnościami sprawiają, że Courbet powoli ale skutecznie dobija się uznania. Ma swoich gorących wielbicieli i zwolenników. Maluje pejzaże, sceny wiejskie, morze, sarny w lesie, akty, choć kobiece akty maluje niechętnie (oddanie na obrazie kobiecego ciała sprawia mu zawsze trudność), maluje owoce, kwiaty, konie a już najchętniej samego siebie. Nie on jeden zresztą. Rembrandt pozostawił po sobie sześćdziesiąt autoportretów, Van Gogh, mimo stosunkowo krótkiego życia malował siebie czterdzieści razy, Courbet pozostawił po sobie trzydzieści sześć autoportretów. Narcyzem? Być może. Zapewne w tym portretowaniu siebie jak i w ustawicznym przeglądaniu się w lustrze było coś z narcyzmu, zwłaszcza, że Gustaw Courbet był bardzo przystojny, albo, podobnie jak inni malarze, korzystał po prostu z darmowego modelu jakim był sam dla siebie.

Courbet radykalny w poglądach społecznych, nieprzejednany wróg Napoleona III i Drugiego Cesarstwa odmawia przyjęcia orderu Legii Honorowej. Podczas rewolucyjnych walk Komuny Paryskiej jest jej najgorzalszym zwolennikiem. Projektuje demokratyzowanie sztuki, reorganizację muzeów. Po upadku Komuny dosięga go zemsta władz wersalskich. Aresztowany i stawiony przed sąd zostaje skazany na więzienie za to, że rzekomo był inicjatorem i brał czynny udział w zburzeniu kolumny Vendôme. W więzieniu chory i

zgnębiony Courbet domaga się pędzla, farb i sztalug. Początkowo odmawiają mu tego, ale wreszcie władze więzienne godzą się. Courbet może malować. Ale co? Modela nie może sprowadzić. Toteż gdy wygłodzonemu artyście przyjaciele przyniosą owoce — zamiast je zjeść maluje je. Przynoszą mu kwiaty — maluje kwiaty. Z pamięci tworzy też kilka scen z czasów Komuny. Potem obok swego więziennego łóżka, na ścianie celi, tuż przy poduszce maluje głowę pięknej dziewczyny z kwiatem wpiętym w włosy. Gdy dyrektor więzienia wszedł do celi omal nie omal dłał z oburzenia ulegając złudzeniu, że to prawdziwa ślicznotka leży w łóżku więźnia. Mając jednak poczucie humoru, wybuchnął po chwili śmiechem. Courbet maluje jeszcze portret strażnika wreszcie autoportret — malarz w więziennym ubraniu wsparty o kraty, spogląda smutno na więzienne podwórko. Ale kiedy Courbet chce z dachu budynku malować Paryż władze sprzeciwiają się, mówiąc, że więzienie nie jest miejscem rozrywki. Po kilku miesiącach chory malarz uzyskuje wolność, ale zostaje skazany na zapłacenie kosztów ponownego wzniesienia kolumny. Suma jest ogromna. Albo Courbet będzie ją spłacał do końca życia w ogromnych ratach, albo znowu pójdzie do więzienia. Władze sekwestrują wszelki dobytek malarza i wszystkie obrazy będące w jego posiadaniu. Courbet ucieka do Szwajcarii. Osiedla się w pobliżu Vevey w La Tour-de-Peilz. Chory na puchlinę wodną umiera na

ziemi szwajcarskiej po czterech latach pobytu, w roku 1857. Później jego zwłoki zostały przeniesione do rodzinnej miejscowości Ornans.

W styczniu br. urządzona została w Luwrze wystawa autoportretów oraz dagerotypów Courbeta, wykonanych przez fotografów: Nadara, Carjata i Laine’a. Ponadto na wystawie zgromadzono karykatury Courbeta wykonane przez Gilla, Bertalla i Sticka.

Widzowie mogą się też zająć z nowymi sensacyjnymi odkryciami. Oto prześwietlone obrazy Courbeta promieniami Roentgena i okazało się, że autoportret zatytułowany „Mężczyzna w skórzanym pasie” namalowany jest na kopii (sporządzonej przez Courbeta) tytanowosklego płótna pt. „Mężczyzna z rękawiczkami”. Filiaje obu obrazów są wyraźne. Podobna postawa model, niemal samo tło, identyczne oświetlenie, to samo położenie napaściłka prawej ręki, a nawet spojrzenie mężczyzny z obrazu Tycjana i Courbeta są bardzo podobne.

Jeszcze większe zaskoczenie sprawiło prześwietlenie obrazu Courbeta z roku 1855 zatytułowanego „Ranny mężczyzna”. Przedstawia on młodego człowieka o rysach samego Courbeta. Dziwny to zresztą ów zraniony mężczyzna. Wygląda raczej na śpiącego opartego o drzewo, choć obok widać szpadę wbłą w ziemię. Okazało się, po prześwietleniu promieniami X, że

najpierw Courbet namalował samotną postać kobiety, później drugi obraz — jakby śpiącego mężczyzny, o którego ramię opiera się półleżąca kobieta. Potem jednak zamalował ową kobietę, a na jej miejscu umieścił pień drzewa. Być może była to kobieta Wirginia Binet, ukochana malarza z lat jego młodości, która go porzuciła, a on usunął ją z obrazu. Są to jednak tylko przypuszczenia.

Na wystawie znalazł się też jeden z najlepszych obrazów Courbeta znany jako „Spotkanie” lub „Dzień dobry, mistrzu Courbet!”. Wśród wiejskiego krajobrazu widzi my Courbeta w stroju podróżnym, z torbą na ramieniu, z kijem w ręku. Daleką odbył drogę. Z Paryża do Montpelier. Przyjaciel malarza wyszedł mu na spotkanie wraz ze swym służącym. Widać uprzejmie i z szacunkiem wędrowca, a Courbet, przystojny młodzieniec z czarną brodą uśmiecha się na powitanie i uchyla kapelusza. Malarz z ogromną dokładnością oddał swą smukłą wówczas postać. Jest w niej siła i wdzięk młodości. Nawet cień wymodelowany jest starannie. Tamci dwaj pozostali w ogóle nie mają cieni. Jakby tylko na nim, na Courbecie zatrzymywały się słoneczne promienie, na co zwrócił uwagę jeden z krytyków już w roku 1855, omawiając obraz „Dzień dobry, mistrzu Courbet!”.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

RANO, 28 I. 1886 R.

(PRZYPOMNIENIA)

Wpół do pierwszej w nocy, 20 grudnia 1885 r. sędziowie wkroczyli na salę. Z Dziesiątego Pawilonu ściągano oskarżonych. Nie wezwano ich wszystkich jednocześnie, ale doprowadzano grupami do pustej o tej porze sali sądowej. Władze zdawały sobie sprawę, że wyrok, który właśnie wydały, jest niewspółmiernie surowy w stosunku do dokonanego przez sędziów orzeczenia winy. Zgodnie z życzeniem władz zwierzchnich gotowa sentencja wyroku została narzucona przez przewodniczącego sądu W. Fryderyksa.

W nocy z 19 na 20 grudnia Okręgowy Sąd Wojskowy w Warszawie ogłosił wyrok w sprawie 29 członków pierwszej polskiej partii robotniczej — „Proletariatu”. Sześciu proletariotczyków, mianowicie P. Bardowski, S. Kunicki, M. Luri, M. Ossowski, J. Pietrusiński i J. Szmaus zostało skazanych na śmierć. Osiemnastu, wśród których znajdował się Ludwik Warzyński, skazano na 16 lat katorgi, dwóch — na 10 i 8

miesiący, jednego na 8 lat, wreszcie dwóch na osiedlenie w najodleglejszych zakątkach Syberii.

W trzy dni po ogłoszeniu wyroku poprzez głuche mury X Pawilonu przeniknęły trzy listy. Pierwszy z nich miał charakter zespolonej odezwy, a zarazem ideowego testamentu proletariotczyków. Czytamy tu: „Sześć wyroków śmierci i dwadzieścia jeden katorgi. Rząd chciał za jednym uderzeniem odciąć głowę hydriczej rewolucyjnej, Proletariatowi, spodziewając się takimi wyrokami wywołać panikę wśród socjalistów. Lecz próżne jego starania: ani nas, ani was tym nie zastraszy”.

Proletariotczycy wzywali: „nie myślcie (...), bracia, o zemście krwawej za nas. Jedyną zemstą z naszej strony powinien być rozwój naszej sprawy, a środków krwawych używać winniśmy jedynie dla swej obrony. Pracujcie, bracia robotnicy, dalej w tym samym kierunku, aby robotnicy wszyscy mogli zrozumieć, że polepszenie losu robotników jest

możliwe i zależy od połączonych usiłowań wszystkich pracujących. Wtedy gdy wszyscy to zrozumieją i zechcą kierować się tą zasadą, zabyłście dzień pożądany”.

Takim był testament ideowy skazańców.

Projekty, konkretne plany i przygotowania do ucieczki, jakie podjęli zamknięci w murach Cytadeli proletariotczy, nie mogły dać żadnych rezultatów. Potrzebna była pomoc z zewnątrz, ale chociaż na wolności znajdowało się spore grono towarzyszy i sympatyków skazanych i organizacja odradzała się, przecież nie miała jeszcze dość siły, aby dopomóc więźniom w przedostaniu się na wolność, zorganizować dla nich kryjówkę i przetransportować za granicę. Podobnie nie przynosiły rezultatów liczne interwencje, jakie podejmowali u władz członkowie rodzin skazanych i ich obrońcy. Władze, jakgdyby zażenowane surowością wyroku, który przez dłuższy czas był wciąż niezatwierdzony, ludzili nadzieję. Dochodzili uspokajające wieści, jakoby w kancelarii samego generała gubernatora panował przychylniejszy niż dotąd stosunek do skazanych, że wysocy carscy dygnitarze mają wątpliwości co do zasadności wyroku. Rzeczywiście też, zarówno generał gubernator J. Hurko, jak

szeff żandarmerii w Królestwie gen. M. Brok, bynajmniej nie z sympatii dla proletariotczyków, ale ze względów politycznych, w memorialach, wysyłanych do Petersburga opowiadali się za złagodzeniem kary przynajmniej w stosunku do niektórych oskarżonych. Stracenie skazanych na śmierć — pisał Hurko do ministra spraw wewnętrznych — dałoby powód „do twierdzenia, że cały ruch w tutejszym kraju organizowali oraz kierowali nim rosyjscy oficerowie i urzędnicy, a wszystkie pozostałe osoby pochodzenia miejscowego były tylko ofiarami ich propagandy”.

Mimo wszystkich tych zastrzeżeń i wątpliwości, pomimo podań o kasację wyroku, złożonych przez część skazanych za radą obrońców, powołana przez ministra spraw wewnętrznych Rada Specjalna tylko w niewielkim stopniu utrzymała jego sentencję. Cztery wyroki śmierci zostały zatwierdzone. Rada opowiedziała się za surowymi represjami, wychodząc z założenia, że ruch socjalistyczny w Królestwie „w porównaniu z 1878 r. osiągnął olbrzymie sukcesy”, a więc „w tej sytuacji spokój wśród robotników i ich zaufanie do władzy (!) można będzie przywrócić tylko w wypadku surowego ukarania winnych naruszenia porządku”.

O godzinie 7 nad ranem panował jeszcze mrok. Z bram warszawskiej Cytadeli

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



wyruszył ponury pochód, kierując się na placyk leżący za bramą Iwanowską. U stóp szubienicy stanęli: komendant Cytadeli, prokurator Warszawskiego Sądu Okręgowego, sekretarz sądu, dwóch wojskowych lekarzy, ksiądz i pop, a także zarządca X Pawilonu. Ubranych w śmiertelne koszule skazańców ustawiono w szeregu pod szubienicą, sekretarz sądu odczytał im wyrok. Panowała cisza. Generał Unkowski, komendant Cytadeli, dał rozkaz rozpoczęcia egzekucji. Proletariotczycy Bardowski, Kunicki, Pietrusiński i Ossowski mieli zostać straceni

w tym samym czasie. Kiedy stanęli już na podwyższeniu, a kat zakładał im pętlę sznura na szyję, w przejmującej ciszy rozległ się okrzyk Kunickiego: „Niech żyje Proletariat!”, a potem Bardowskiego: „Niech żyje republika!” Dokładnie o godzinie 7.40 klatki skazańców spod nóg podwyższenia, dwadzieścia pięć minut później komisja lekarska stwierdziła zgon. Pochowani zostali niedaleko od miejsca kaźni, nad brzegiem Wisły. Wschodził ranek 28 stycznia 1886 roku.

LEKTOR

## Zdarzeni A. I. Zwierzeni A

### POEZJA W SZKOLE

„A zatem dlaczego Słowacki wzbudza w nas zachwyt i miłość? Dlaczego placzem z poetą czytając ten cudny, harfowy poemat „W Szwajcarii”? Dlaczego, gdy słuchamy heroicznych, spiżowych strof „Króla Duchy”, wzbiera w nas poryw? I dlaczego nie możemy oderwać się od cudów i czarów „Balladyny”, a kiedy znowu skargi „Lilli Wenedy” zadźwięczą, serce rozdziera się nam na kawały?”

No, dlaczego? — pyta nieśmiertelny prof. Pimko z gombrowiczowskiej „Ferdynandki”. Otóż dlatego, że Słowacki wielkim poetą był. „Niech Walkiewicz powtórzy”.

„Dlatego, że wielkim poetą był — powiedział Walkiewicz, uczniowie wycinali scyzorykiem ławki, albo robili małe kuleczki z papieru...”

Ileż to już lat temu Gombrowicz kpil z nauczania poezji w szkole — a temat wciąż świeży. A więc raz jeszcze podjęto go — tym razem w pierwszym numerze miesięcznika „Poezja”. Zmienia się bowiem szkoła, podręczniki, programy, zmienia się sama poezja, a sprawa nauczania poezji, kształtowania gustów, wciąż jest otwarta, wciąż dyskusyjna.

Oto redaktorzy „Poezji” zaproponowali licealistom dwa wiersze: młodopolski

sonet Antoniego Langego i współczesny wiersz Zbigniewa Herberta. Siedemdziesiąt pięć procent zapytanych zdecydowanie wybrało wiersz Langego, piętnaście procent przyznało prawo istnienia obu utworom, dziesięć procent stwierdziło, że wiersz Herberta jest im bliższy...

Czy to rzeczywisty obraz estetycznych gustów młodego pokolenia, czy po prostu przewaga starych tendencji w metodach nauczania? Czy rzeczywiście triumf młodopolskiej estetyki, czy po prostu brak kontaktu z poezją współczesną?

„Szkolny” numer miesięcznika odpowiada na te pytania. A właściwie nie odpowiada jednoznacznie, nie stawia diagnoz, nie wypowiada apodyktycznych sądów... Na szereg istotnych pytań o poezję w szkole miesięcznik proponuje planistyczne dyskusje, określa pewne punkty węzłowe dyskusji, która powinna wyjść z lamów pisma, grona specjalistów i wybranej grupy stołecznych polonistów i li-

cealistów — do szerokiego kręgu nauczycieli i uczniów. Przyjmując taką właściwie „dyskusyjną” metodę prezentowania problemu, miesięcznik publikuje obszerny stenogramy rozmów w gronie polonistów i krytyków, obszernie fragmenty ankiety rozpisanej wśród licealistów, sporą garść wierszy nastolatków... Osnowę numeru, jego najcenniejsze pozycje stanowią właśnie zapisy dyskusji i fragmenty ankiety.

Pedagodzy mówią, że współczesna młodzież straciła wiarę w poezję, że w poezji przestano szukać prawdy. Byłby to — być może — nienajlepszy kłopot dydaktyczno-literacki, gdyby owe stwierdzenia nie stanowiły jakiegoś groźnego eufemizmu. „Utrata wiary w prawdę dzieła literackiego” — za tym sformułowaniem kryje się coś więcej i jeśli nawet jest to opinia nie do końca prawdziwa, nie można obok tego zjawiska przechodzić obojętnie, bo jest ono o wiele groź-

niejsze i mówi o wiele więcej niż to z pozoru wygląda...

Jeśli młody człowiek mówi: „poezja jest mi niepotrzebna, potrafię się bez niej całkowicie obejść”, jeśli mówi: „poezja nie jest potrzebna w życiu”, musimy sobie przecież zadać pytanie o stopień jego ludzkiej wrażliwości, o „nieprzemakalność” na ludzkie wzruszenia... I musimy sobie zadać pytanie, jaka byłaby wizja społeczeństwa impregnowanego przed poezją.

Powtarzam — to nie tylko prywatny interes poetów, miesięcznika „Poezja” i nauczycieli polonistów. Tak też widzą ów problem inicjatorzy i twórcy „szkolnego” numeru „Poezji” — jest on po prostu punktem wyjścia, podstawą do dyskusji — prolegomeną do zmian.

Od lat narzeka się na podręczniki i osławione „wypisy”. Jak pisze Bohdan Drozdowski: „przeciwstawia się Jakubowskiemu Maciejewskiemu, ale nie widzi się różnicy zdań jednego i dru-

giego”. Narzeka się na PZWS i wytyczne Ministerstwa. A przecież należy w ogóle postawić pytanie o sens istnienia podręczników „monopolistycznych”, albo dopuścić do programu wiele podręczników (jak np. w Anglii), gdzie nauczyciel sam sobie doбира najbardziej dlań odpowiedni. W takim rozwiązaniu nadzieja — pisze Drozdowski — i nadzieja w rzeszy inteligentnych, samodzielnych polonistów — a nie w ciągłych odmianach podręczników, które nie mogą być obowiązującym kanonem, bo takiego kanonu żaden Instytut Badań Literackich wyprodukować nie jest w stanie.

Styczeńowy numer „Poezji” jest otwarciem dyskusji, jest zbiorem materiałów i dokumentów nieodczynnych do rozpoczęcia rozmowy na temat miejsca poezji w szkole i w życiu. Bowiem to miejsce nie powinno być pu-  
ste.

WIDOK

## LEWYM OKIEM!

### EPOKA WYRZUCANIA

Cała dotychczasowa historia ludzkości polegała w gruncie rzeczy na doskonaleniu metod wytwarzania. Najpierw ulepszało się przez dziesiątki tysięcy lat narzędzia, potem przez następnych parę stuleci — narzędzia zastępowaliśmy mechanizmami, coraz lepszymi, kręcącymi się coraz szybciej, wreszcie ostatnich kilka dziesiątków wiosen poświęciliśmy na automatyzację, włącznie z produkcją niematerialną, mianowicie z komputeryzacją.

I nagle niektóre superpotęgi przemysłowe ocykają się na niezwykłym zakreśle: już nie wytwarzanie trzeba udoskonalać, tylko właśnie zużywać! Zużywać nie nadają się do produkcji! Ludzie, konsumujcie szybciej, albo niższe i szybciej to co macie, rwiście na strzępy, bierzcie nowe, bierzcie do jasnej Anielki, bo leci strumieniem spod miliona pras, obrabiajcie, automatów, pieców, leci i zatapia lawiną magazyny, chłodnie, składy, supermarket. Co by tu wy-

myślić, żeby rzeczy niszczyły się prędzej, żeby je trzeba było wytwarzać wciąż na nowo?

Już są we Francji sprzedawane po 5 franków żelazka do prasowania, przeznaczony na jeden raz. Przed pójściem na bal pani wlewa do żelazka parę kropel wody, która w połączeniu ze znajdującymi się wewnątrz chemikaliami powoduje powstanie wysokiej temperatury na niecałą godzinę. Po godzinie żelazko się wyrzuca — jeśli ma się gdzie. Nie jest to proste, haldy śmieci zasłaniają widok na świat, żelazka trzeba jednak wyrzucać, żeby przedziutko produkować nowe.

Któż jednak chce dziś prasować, skoro tkaniny mamy niemnące, dzianiny niemnące, konfekcję niemnącą? Producentów tkanin niszcza producentów żelazek, sami przy tym mając kłopoty ze zbytem. Więc lecą sukien-

ki przeznaczone na jeden raz. Ani ich prasować nie trzeba, ani prać nie można. Po paru godzinach noszenia wyrzuca się i już (jeśli się ma gdzie wyrzucić...) Kompletny strój narciarski kosztuje 5 marek, zrobiony jest z gazetowego papieru wzmocnionego plastykiem, po zdjęciu nadaje się akurat do wyrzucenia. 15 koron płacą Szwedzi za odkurzacz, którego pojemnik wystarcza na niespełna trzy miesiące. Potem całość wyrzuca się na śmietnik, jeżeli nie jest przepelnięty. Wy-myślono już buty po trzy marki, w których chodzi się około stu godzin. Kończy się setna godzina — zostają boso po środku ulicy, o ile nie jesteście przewidujący i nie wyrzucicie butów wcześniej, nie czekając na taką ostateczność.

Są maszyny do golenia, w których nie wymienia się ostrzy. Nie warto. Wymienia

się całość, i to co parę dni. Są walizki i kufrы, pomyslane na jedną podróż. Nie wiemy, co się dzieje, jeśli ktoś nie zastanie naczelnika w resorcie i musi przedłużyć podróż o 2-3 dni. Jak przedłużyć żywotność walizki?

Są projektory z wmontowanym filmem. Nic nie trzeba robić, tylko postawić go na stole — i już leci na ścianie film. Można go sobie obejrzeć kilka razy i wyrzucić. Nic więcej zrobić nie można.

Są całe dania obiadowe w puszkach, którym zwilża się tylko dno — i całość staje się gorąca. Zjeść i wyrzucić. Nie trzeba ogniska, ani butli z gazem, ani sieci elektrycznej z kontaktem w zasięgu ręki. Nic nie trzeba. Następnym krokiem na drodze szalonego postępu: puszka sama się nawilży i wyrzuci, a jeszcze później — wyrzuci się bez nawilżania. Odkurzacz będzie niezmiernie mister-

ne, lekkie, śliczne i zdatne do wyrzucenia nie po trzech miesiącach, tylko co dzień. Co dzień nowy kurz — co dzień nowy odkurzacz. Zużyte odkurzacz złożą się na nowe Himalaje, pokryte warstwą nowego wiecznego kurzu.

Nie nadążymy wyrzucać. To bardzo pracochłonne zajęcie, zwłaszcza że o śmietnik coraz trudniej. Najdroższe wille powstaną tuż przy zrypskach śmieci — cóż za luksus mieć coś takiego w pobliżu! W najdroższych willach najwięksi milionerzy będą za ogromne pieniądze świecić sobie luzycem, skrobać rzepę kozikiem, zamiatać miotłą z gałęzi (o ile będą gałęzie). Ale automaty nie ustąpią, produkcja będzie rosła, rosnąć, rosnąć...

Cóż za koszmarny śniad mi się w ostatnim czasie!

ĆWIEK